

# RES HUMANA

Humanizm  
Racjonalizm  
Kultura świecka

2/183  
2023 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 2 (183) 2023 Rok wyd. XXXII • Cena 10,00 zł (w tym 8% VAT)



Foto A. Ernaux  
©Francesca Mantovani-éditeurs Gallimard

**Annie ERNAUX:**  
„do końca będzie mściła  
swoją rasę. Rasę ludzi  
biednych, nie-elit”.

Dyskusja o prozie Noblistki

– czytamy na s. 33

## FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

- Witamy Pakt Senacki, ale...
- Zełenski w Brukseli, Biden w Warszawie
- Afery władzy

## JAKA LEWICA?

O tym, jakiej lewicy potrzebuje dzisiejszy świat, nowoczesne społeczeństwa i współczesna Polska piszą: Krzysztof JANIK, Robert KWIATKOWSKI, Jerzy WIATR

## PO ROKU WOJNY

Ważne teksty Aleksandra KWAŚNIEWSKIEGO i Joe BIDENA  
Krótki esej Roberta SMOLENIA

## WSPOMINAMY WACŁAWA SADKOWSKIEGO

Wybrane recenzje

## ŚWIADECTWA

Mirosław CHAŁUBIŃSKI o zarzutach wobec Jana Pawła II  
Nagroda im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Prof. Tadeusza Kotarbińskiego

## FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Andrzej ŻOR i Daniel ZBYTEK

## WŚRÓD KSIĄŻEK

O Gdyni obiecaniej Grzegorza Piątka, Sztukach pięknych Wiesława Łuki, Dramatach Zofii Posmysz i Mieczach Watykanu Severyna Ashkenazego

# Spis treści

## FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

List do Czytelników/1

Komentarz redakcyjny

Witamy Pakt Senacki, ale.../2

Marek PRAWDA

Wspierając Ukrainę, zachodnie demokracje  
bronią siebie/3

J. Paweł GIEORGICA

Afery władzy/5

## JAKA LEWICA?

Jakiej lewicy potrzebuje dzisiejszy świat,  
nowoczesne społeczeństwa i współczesna Polska?

Krzysztof JANIK

Lewica wobec przyszłości/7

Robert KWIATKOWSKI

Cztery wyzwania, z jakimi musi zmierzyć się  
lewica/11

Jerzy J. WIATR

Dylematy lewicowej tożsamości/15

## PO ROKU WOJNY

Aleksander KWAŚNIEWSKI

Perspektywy nowej europejskiej polityki  
wschodniej/17

Robert SMOLEŃ

Krótki esej o pokoju, wojnie i specjalnej  
operacji/23

## DOKUMENTY

Przemówienie prezydenta USA Joe BIDENA  
w Warszawie 21 lutego 2023 r./28

# ZAiKS

## Stowarzyszenie Autorów

Z podziękowaniem za wsparcie  
naszej pracy na rzecz kultury.

„RES HUMANA”

## LITERACKI NOBEL 2022

Annie ERNAUX – *szczerść bez kompromisu.*

O twórczości francuskiej noblistki rozmawiają:

Agata KOZAK – tłumaczka jej powieści,

Janusz TERMER – krytyk literacki, Zdzisław

A. RACZYŃSKI – pisarz, Robert SMOLEŃ/33

Andrzej ŻOR

Podobieństwa i różnice. O *Bliskich* Annie  
Ernaux/39

## WACŁAWA SADKOWSKIEGO LEKTURY NIEOBOWIĄZKOWE

Pominięcie niebaczone, ale i niewybaczalne/41

Gra własnym życiem/43

Alfreda Łaszowskiego

próba dialogu ze współczesnością/45

## ŚWIADECTWA

Nagroda imienia prof. Tadeusza Kotarbińskiego

dla *Łodzi Ulisses*/48

Mirosław CHAŁUBIŃSKI

Spór o Jana Pawła II/49

## FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Andrzej ŻOR

Tak myślę/52

Daniel SAMOTUS ZBYTEK

Krzywym okiem/56

## WŚRÓD KSIĄŻEK

Andrzej ŻOR

Sztuki piękne/58

Janusz TERMER

Jeszcze słówko o Zofii Posmysz (1923–2022)/60

Radek CZARNECKI

Dzieje Kościoła okiem świadka zła/62

Daniel SAMOTUS ZBYTEK

Gdynia obiecana/64

## CO DWA MIESIĄCE

Jerzy J. WIATR

Wybory 2023 – czy zaprzepaszczona szansa?/  
IV s. okł.

**RADA REDAKCYJNA:** Zdzisław SŁOWIK – Redaktor-Senior, Dionizy TANALSKI, Danuta WANIEK, Jerzy J. WIATR – przewodniczący Rady, Andrzej ŻOR.

**REDAKCJA:** Mirosław CHAŁUBIŃSKI – z-ca redaktora naczelnego, J. Paweł GIEORGICA, Zdzisław A. RACZYŃSKI, Anna SIKORSKA-MICHAŁAK, Robert SMOLEŃ – redaktor naczelny, Ewa SPYŁA, Janusz TERMER, Daniel SAMOTUS ZBYTEK.

**ADRES REDAKCJI:** 00-102 Warszawa, ul. Marszałkowska 115 lok. 369A, tel. 605 101072, e-mail: redakcja@reshumana.pl.

**WYDAWCA:** Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.  
www.reshumana.pl.

Druk w Drukarni ACAD w Józefowie.

# FAKTY WYDARZENIA OPINIE

## Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Państwa ręce pierwszy numer *Res Humana*, w którym Zdzisław Słowik figuruje w stopce jako Redaktor-Senior.

Zdzisław jest legendą tego pisma. Założył je ponad 31 lat temu i przez cały ten czas niestrudzenie, jako redaktor naczelny, je prowadził. Zgromadził wokół tego tytułu szerokie grono stałych autorów z imponującymi kompetencjami i dorobkiem – filozofów, socjologów, politologów, etyków, pisarzy, krytyków literackich. Pozyskiwał unikalne teksty wybitnych intelektualistów, wielkich postaci polskiej i światowej humanistyki: Tadeusza Kotarbińskiego, Jerzego Wiatra, Zygmunta Baumana, Adama Schaffa, Bogdana Suchodolskiego, Janusza Reykowskiego, Andrzeja Walickiego, Ireny Wojnar – by wspomnieć tylko niektórych. A także osób o realnym wpływie na kształtowanie opinii w ważnych sprawach, na naszych łamach często gościli Aleksander Kwaśniewski i Włodzimierz Cimoszewicz; także Marek Belka czy ostatnio Leszek Miller. Pielęgnował współpracę z uczonymi skupionymi wokół Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” Polskiej Akademii Nauk. Starannie dobierał przedruki, by Czytelnicy dwumiesięcznika mieli wgląd w toczące się debaty publiczne o szczególnym znaczeniu.

Twardo trzymał kurs niezmiennie definiujący charakter periodyku. Jest nim ambicja podejmowania pogłębionej refleksji o współczesnym świecie i miejscu w nim człowieka, postawionego w centrum wszystkiego. Doktor Słowik nie dopuszczał do nadmiernego ulegania emocjom, do odstępstw od rozsądnego i uczciwego osądu rzeczywistości. Czynił tak zarówno w czasach, gdy rozum znalazł się pod ostrym naporem irracjonalizmu, jak i teraz, kiedy wahadło wychyla się w drugą stronę.

Będziemy wierni temu przesłaniu. Postaramy się nadal opisywać otaczający nas wszystkich świat w taki sposób, aby ułatwiać Czytelnikom dostrzeganie symptomów nadciągających nieuchronnie zmian, pomagać zrozumieć ich naturę i wyrabiać własne zdanie co do tego, jakie reakcje i zachowania będą adekwatnymi odpowiedziami.

Stali odbiorcy pisma dostrzegą z czasem nowe nazwiska, nowe działy i nowe tematy. Nic jednak nie odbędzie się ze stratą dla dotychczasowego kształtu *Res Humana*. Mamy nadzieję, że w perspektywie dziesięciu – dwunastu miesięcy uda nam się ostatecznie zaproponować jej nową odsłonę, którą z zadowoleniem uznają Państwo za własną.

Cieszymy się, że Redaktor-Senior Zdzisław Słowik będzie nas wspierał, będzie uczestniczył w tym przeobrażeniu.

**Robert SMOLEŃ**

# Witamy Pakt Senacki, ale...

... żałujemy, że demokratycznej i proeuropejskiej opozycji nie udało się porozumieć także w sprawie wspólnej listy do Sejmu w nadchodzących wyborach. Jeśli nawet temat ten nie jest jeszcze definitywnie zamknięty, to szanse takiego rozwiązania i zagwarantowania jego skuteczności niestety maleją z każdym dniem.

Doprowadziły do tej sytuacji dwa mniejsze ugrupowania centrowo-konserwatywne: PSL i Polska 2050 Szymona Hołowni. Przedłożyły swoje własne interesy polityczne nad cel, jakim w 2023 roku bezwzględnie powinno być odsunięcie Prawa i Sprawiedliwości od władzy. Obecne kierownictwo pierwszej z tych partii odrzuciło tradycje lewicowego nurtu w ruchu ludowym i w obawie przed progresywnymi elementami toczącej się dyskusji o przyszłości naszego państwa i społeczeństwa, postanowiło szukać poparcia w tradycjonalistycznej części mieszkańców wsi i miasteczek (próby pozyskania znaczącej liczby wyborców wielkomijskich, jeśli naprawdę są przez polityków Stronnictwa traktowane poważnie, zdają się być mrzonką).

Logika, stojąca za decyzją kandydata z trzecim największym poparciem w wyborach prezydenckich w 2020 roku (budowanie nowej siły politycznej wymaga samodzielnego docierania do elektoratu i utrwalania własnego szyldu) byłaby zrozumiała, gdyby nie szczególne okoliczności. Jesienne głosowanie (jeśli odbędzie się w konstytucyjnym terminie) nie będzie okazją do zwykłej alteracji władzy, tylko przesądzi o tym, czy pozostaniemy w rodzinie państw demokratycznych i praworządnych, czy też będziemy konsekwentnie i zapewne coraz szybciej staczać się w stronę węgierskiego albo tureckiego modelu państwa autokratycznego.

W obliczu tej alternatywy partykularne cele i osobiste ambicje trzeba odłożyć na bok. Tym bardziej, że obóz narodowo-katolickiej prawicy odzyskuje chyba wigor; choć na razie jeszcze nie odzyskuje utraconych wyborców. Przywykliśmy do życia z wysoką inflacją, jakoś dajemy sobie radę z opłacaniem rachunków za prąd i ogrzewanie domów i mieszkań, zapomnieliśmy o 200 tysiącach nadmiarowych zgonów w czasie pandemii i póki co puszczamy płazem coraz liczniejsze afery i nadużycia władzy, włącznie z malwersacją publicznych pieniędzy. W cieniu trwającej zaraz za granicą Rzeczypospolitej wojny, godzimy się na zaciąganie ogromnych zobowiązań na zakupy uzbrojenia, nieprzemyślane i niesłychanie kosztowne. Stan finansów państwa jest bardzo niepokojący, a należy założyć, że zgodnie z kanonem populistycznej polityki, wkrótce w stronę najważniejszych dla PiS segmentów elektoratu zostaną skierowane pokaźne transfery.

Sytuacja nadal sprzyja siłom demokratycznym i proeuropejskim, lecz wciąż nie potrafią one wykorzystać do maksimum korzystnego splotu okoliczności. Ponowne zwycięstwo i kontynuacja rządów Jarosława Kaczyńskiego, jeszcze dwa miesiące temu wyglądające na niemożliwe, dziś już wcale nie jest wykluczone.

Rezygnując z próby przekonania zwolenników – a zwłaszcza osób niezdecydowanych – że stawka tych wyborów jest egzystencjalna dla polskiej demokracji, opozycja przyjmuje warunki gry określone przez jej przeciwników. A na tym polu jest z natury rzeczy słabsza. Nie da się pobić populistów własną, bardziej miękką wersją populizmu.

Ustępując ze stanowiska rygoryzmu w kwestii przestrzegania Konstytucji, traci się moralny grunt i busolę wskazującą drogę do zaufania zdecydowanej większości obywateli.

Chowając za plecy błękitny sztandar z dwunastoma złotymi gwiazdami, odpuszcza się możliwość apelowania do aż dziewięćdziesięciu procent rodaków, opowiadających się za obecnością Polski w UE. A przecież faktyczny *polexit* po cichu postępuje, czego dowodem są dwa wyroki trybunału kierowanego przez Julię Przyłębską, podważające prymat europejskiego prawa – i skarga na nie do Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu.

Martwi fakt, że opozycja nie jest w stanie przedstawić wspólnego zarysu nowej, uczciwej i sprawiedliwej polityki oraz planu działań dla odbudowy demokratycznego i sprawnie funkcjonującego państwa.

Wspólna lista byłaby ukoronowaniem tej jedności. Dałaby dodatkowe mandaty pozwalające utworzyć rząd, być może odrzucać prezydenckie weta. A kto wie, czy nie przyniosłaby wręcz większości konstytucyjnej? Utrudniłaby lawirowanie przez prezydenta Dudę podczas powoływania nowego gabinetu i blokowanie przez niego procesu naprawy Rzeczypospolitej.

Proszę nie wierzyć w argument o rzekomej utracie w takim wariantcie części wyborców. Nie można tego *a priori* ustalić przy użyciu narzędzi socjologicznych, bo nie uwzględnia się wówczas oddziaływania liderów (skoro pozostają oni w tej sprawie bierni) na wyobraźnię i ostateczne decyzje sympatyków. Zresztą – jeśli dobrze się zastanowić – Pakt Senacki zakłada, że niektórzy stronnicy zawierających go partii będą zmuszeni do oddania głosu na obcych im ideowo kandydatów; a to nie miałoby miejsca w obowiązującej w przypadku Sejmu ordynacji proporcjonalnej.

Jednak obóz demokratyczny chyba postanowił pójść do tej batalii w rozsypce, niepomny wcześniejszych doświadczeń. W 2015 r. uzyskał o półtora miliona, a cztery lata później – o 900 tysięcy głosów więcej, a mimo to władzę zdobywało i utrzymywało PiS. Skoro tak, to teraz musi wygrać w takich warunkach, jakie sam sobie stworzył.

---

## Wspierając Ukrainę, zachodnie demokracje bronią siebie

---

Zanim Joe Biden przyjechał do Kijowa, Wołodymyr Zełenski odwiedził Londyn, Paryż i Brukselę, aby „zapisać” Ukrainę do Zachodu. Uczynił to poprzez utożsamienie walki Ukraińców z egzystencjalnym interesem Unii Europejskiej. Sformułował przy tym trzy komunikaty.

Po pierwsze, Ukraina jest stroną w kluczowym dla naszych czasów sporze demokracji z systemami autokratycznymi. Wszyscy musimy dostrzec interes w tym, żeby Ukraina nie uległa, bo przecież nie chcemy, żeby wygrywały satrapie. Czyli Ukraińcy toczą *naszą* wojnę, wyrażają *nasz* sprzeciw wobec globalnego chuligaństwa.

Po drugie, to Ukraina jest dziś miejscem obrony wartości uniwersalnych. Jeżeli bliskie są nam prawa człowieka, praworządność, godność jednostki czy zapobieganie dyskryminacji, to musimy zaakceptować ukraińskie motywacje. Także te, które przy-

zwyczailiśmy się uznawać za przeżytek. Bo Zachód ma tendencje do traktowania z góry krajów, w których zbyt łatwo nawołuje się do heroizmu, w których silne są tożsamości narodowe. Chcieliśmy przecież na Zachodzie żyć w świecie, gdzie przestaje być ważne, kto ma więcej czołgów, gdzie wypada mówić tylko o wartościach postheroicznych i tożsamościach postnarodowych. Tylko że świat nie chce być taki, jakim go malujemy. Aby obronić wartości uniwersalne przynależne porządkowi liberalnemu potrzebujemy dziś elementarnego poświęcenia, które czerpie siłę – także – z identyfikacji narodowych.

Czyli bohaterzy Ukrainy ze swoimi złożonymi motywacjami toczą *naszą* wojnę, bo chodzi tu o uratowanie *naszych* wartości uniwersalnych. Ale uwaga – nowa ukraińska tożsamość zdaje się mieć charakter bardziej obywatelski i polityczny niż etniczny, zachodzi tam ważny proces, który nie powinien ujść uwadze zachodnich obserwatorów. Tymczasem długo nosili oni rosyjskie okulary i zbyt łatwo dawali sobie wmawiać, że wszyscy Ukraińcy to nacjonałiści i faszyci. Dobrze o tym wie prezydent Zełenski, który w przededniu europejskiego tournée pokazał, że jest gotowy z determinacją walczyć z wszelkimi patologiami u siebie, w Ukrainie, w tym także z korupcją i łamaniem zasad państwa prawnego.

Po trzecie, Ukraina chce być żywym dowodem na to, że demokracje muszą również umieć wygrywać wojny. To fundamentalna lekcja dla Unii, która zdążyła się już przestawić na tryb zarządzania zbiorowym szczęściem. Demokracje są z natury nastawione pokojowo. Ale, jak się okazuje, demokracji i pokoju trzeba bronić wszystkimi siłami, bo w innym przypadku będziemy skonfrontowani z siłą i bezwzględnością innych. Polisa ubezpieczeniową demokracji jest silna i sprawna armia. Przed czołgiem agresora może nas obronić tylko nasz własny czołg, czyli broń traktowana zwykle jako ofensywna, jest w istocie bronią defensywną. Jedyną prawdziwie skuteczną obroną przed atakiem pozostaje zdolność do kontrataku. Dostawy czołgów nie niweczą szans na rokowania pokojowe, one je dopiero umożliwiają. A poza bronią atomową i udziałem żołnierzy NATO w wojnie nie ma dziś sensu wytyczanie innych czerwonych linii. Taką lekcję odebraliśmy w ciągu mijającego roku. Wniosek z niej brzmi: Ukraińcy powinni dostać od nas wszystko, czym dysponujemy, bo wspierając ich – bronimy samych siebie.

Prezydent Stanów Zjednoczonych uznał, że historia odwiedziła nas właśnie w Ukrainie i że nie może sobie pozwolić na nieobecność. Akceptując przedstawiony tu komunikat Zełenskiego, związał swój polityczny los z rozwojem sytuacji w Ukrainie. Ameryka przybyła tu, aby zostać – to więcej niż deklaracja wsparcia. Biden wyjaśnił w Kijowie i Warszawie nowy sens bycia razem.

Warto dziś zainwestować w zrozumienie tego przesłania, bo nie jest ono prostą kontynuacją epoki *Pax Americana*, zgodnie z dewizą, że „nasze przywództwo jest waszą wolnością”. Nowa Ameryka musi dziś umacniać związki transatlantyckie w zmieniającej się sytuacji, w konfrontacji z rosnącymi w siłę przeciwnikami. Zamiast zimnej wojny mamy obecnie próby kwestionowania standardów i instytucji współczesnego ładu przez grupę aspirujących do światowego przywództwa. Budowa nowego ładu międzynarodowego będzie wymagać nie tylko kooperacji USA z UE, lecz także intensywnych zabiegów o poszerzenie wspólnoty wartości na wszystkich kontynentach.

Można oczekiwać przynajmniej dwóch korekt w polityce USA. Istnieje opinia, że Zachód rozbudza tęsknoty demokratyczne w odległych społeczeństwach, po czym zostawia je sam na sam z regionalną potęgą, która z reguły boi się demokracji. Wymyśla więc ona opowieści o „zagrożeniu” i „okrażaniu” przez młode państwo demokratyczne, aby uzasadnić własną interwencję. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski i zapew-

nić zawczasu także społeczno-gospodarczą strategię przetrwania młodej demokracji w niesprzyjającym otoczeniu. Ukraina wydaje się testem takiego podejścia.

Ponadto Biden od początku kadencji stara się przywrócić elementy demokratycznego kapitalizmu, czyli promocję takich projektów gospodarczych, które w szerokiej percepcji „służą ludziom”, zapewniają poduszkę ochronną w mało stabilnej sytuacji gospodarczej, niwelują nierówności. Chodzi o odcięcie tlenu ruchom populistycznym, o przekonanie obywateli, że demokracja oferuje lepsze sposoby na ich kłopoty.

W znacznym stopniu od zrozumienia tego nowego amerykańskiego przesłania zależy będzie nasza rola w kształtującym się ładzie międzynarodowym.

Marek PRAWDA

---

## Afery władzy

---

W polskim dyskursie publicznym zjawisko korupcji występuje jako użyteczny wytrych do propagandowego nagłaśniania (na różnych poziomach symplifikacji) coraz liczniejszych afer i narastających patologii. Prowadzi to do dominującego u nas populistycznego sposobu wykorzystania tego tematu jako narzędzia w konkurencyjnej walce o zdobycie bądź utrzymanie władzy. Czyli argumentu przydatnego w dyskredytacji każdej kolejnej ekipy władzy; to zaś sprzyja utrzymywaniu się stanu permanentnej kampanii wyborczej. Pomaga też wyjaśniać (w stylu narracji kryminalnych thrillerów) różne skomplikowane meandry prowadzonej polityki, a także uzasadnić nasilanie się tego zjawiska ogólnie kryzysem ustrojów demokratycznych (ponoć genetycznie obciążonych grzechem korupcji).

Powszechne społeczne mniemanie o przeżarciu sfery polityki przez praktyki korupcyjne w Polsce wynika także z medialnej nośności większości niewyjaśnionych dotychczas afer. Zainteresowanie bardziej dalekosiężnymi przyczynami oraz ich skutkami w większym stopniu było pochodną efektu kumulacji i natłoku następujących po sobie kolejnych afer, niż jakiegoś jednego spektakularnego wydarzenia z mijającego okresu trzech kadencji rządów Prawa i Sprawiedliwości. Mimo dużego zróżnicowania, te sytuacje mają wspólny mianownik – różne formy korupcyjne. Warto je tu skrótowo wymienić: dwie wieże – Srebrna, niesprawne respiratory, wadliwe maseczki, szpitale covidowe, afery podkarpackie: rodzinne loty liniami *Air Kuchciński*, Dawid Kostecki wieszany w celi; polowanie na Romana Giertycha, traktor w prezencie ślubnym, elektrownia Ostrołęka, hejterzy ministra Ziobry, wybory kopertowe, prokuratura w służbie władzy, reasumpcja głosowań w Sejmie, demolowanie sądów, zatrucie Odry, inwigilacja Pegasusem.

I dwie najświeższe: program „Wille+” oraz 55 milionów złotych z NCBR dla dwudziestosiemioletka.

Wspólnym mianownikiem wszystkich tych afer PiS są przede wszystkim leżące u ich podłoża poważne deficyty praworządności w państwie. Niechybnie doprowadzą one jeszcze do kolejnych większych afer, które przejawiają się zapewne w niespotykanych dotąd formułach szeroko rozumianej korupcji.

Zainteresowanie społeczne narastaniem tego problemu w warunkach państwa PiS początkowo wywołało spore protesty, lecz dosyć szybko zostały one spacyfikowane

przez władzę. Zainteresowanie to odrodziło się dopiero w okresie pandemii, a następnie wzrastało w okolicznościach wysokiej inflacji i drożyzny, prowadzącej do obniżania się materialnego poziomu życia społeczeństwa. Obecnie jesteśmy w okresie przedłużającej się wojny w Ukrainie, w której państwo polskie nie jest bynajmniej neutralnym obserwatorem, lecz bardzo aktywnym podmiotem międzynarodowym, zawierającym wielomiliardowe i długoletnie transakcje zakupu nowoczesnej broni oraz źródeł energii. Według organizacji międzynarodowych zajmujących się tym tematem, największe afery korupcyjne pojawiają się właśnie w czasie podobnych krytycznych wydarzeń.

W roku wyborczym wydzźwięk dotychczas ujawnionych skandali dosyć znacząco oddziałuje na zewnętrzny obraz polskiego systemu politycznego (wadliwa, nieskonsolidowana demokracja przechodząca w autorytaryzm), co profiluje preferencje dużej części wyborców opozycji oraz części elektoratu wspierającego rządzącą elitę władzy politycznej.

Źródła narastania afer korupcyjnych władzy kryją się już w okresie pierwszych rządów PiS, kiedy to w latach 2005/2006 została przeprowadzona gruntowna reforma służby cywilnej, prowadząca do jej zastąpienia wiernymi zwolennikami tej partii. Choć doszła ona do władzy obiecując oczyścić kraj z korupcji, kumoterstwa i nepotyzmu. To problemy wszystkich poprzednich polskich rządów, ale ich szerokie, systemowe rozposzechnienie nastąpiło faktycznie dopiero pod rządami Zjednoczonej Prawicy. Zmieniono prawo, obniżono lub usunięto wiele kryteriów obsady kadrowej instytucji publicznych, preferując nominacje oparte na lojalności partyjnej i osobistych koneksjach.

W ostatnich latach Najwyższa Izba Kontroli, jedyny organ państwa (obok posłów opozycji) wykazujący wolę wykonywania nadzoru nad urzędnikami i instytucjami państwa, wielokrotnie wyrażał obawy o niewłaściwe wykorzystanie środków publicznych przez PiS i jego koalicjantów.

W marcu 2023 r. prokuratura podjęła śledztwo w sprawie wycieku informacji niejawnych dotyczących sprawy uzbrojenia polskiej armii (armii członka Sojuszu Północnoatlantyckiego!) w tzw. mailach ministra Dworczyka. *Casus* ten, jedyny dotychczas w historii całego okresu rządów PiS, otwiera być może okno na zmianę kierunku prowadzonej polityki. Ale czy tak stanie się w istocie, zależy będzie od wyniku wyborów na jesieni bieżącego roku.

**J. Paweł GIEORGICA**

## **ZAPROSZENIE**

### **do czytania i prenumeraty RES HUMANA w 2023 roku**

**Serdecznie zapraszamy wszystkich przyjaciół myśli niezależnej do czytania i prenumeraty RES HUMANA w 2023 roku. Koszt rocznej prenumeraty wynosi 60 zł plus opłaty pocztowe (27,60 zł).**

**Zamówienie najprościej zrealizować poprzez wpłatę należności na konto Redakcji w Banku Millennium nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146. Nasz adres 00-102 WARSZAWA, ul. Marszałkowska 115 lok. 369 A.**

**Czekamy na wszystkich Państwa w RES HUMANA.**

**Redakcja**



---

# JAKA LEWICA?

Jakiej lewicy potrzebuje dzisiejszy świat,  
nowoczesne społeczeństwa, współczesna Polska?

---

Rozpoczynamy dyskusję o znaczeniu i roli lewicy we współczesnym świecie. Globalnie, w wielu miejscach wciąż istnieje tak dużo ubóstwa, niesprawiedliwości, wyzysku, nierówności, nietolerancji i zacofania, że siły polityczne dążące do zmiany tego stanu rzeczy mają czym się zajmować. Ale w społeczeństwach postindustrialnych, które zaznały dobrodziejstwa państwa dobrobytu i których członkowie zderzają się dziś z płynną nowoczesnością, komunikują za pośrednictwem *social mediów* i zastanawiają nad wpływem na ich życie sztucznej inteligencji, tradycyjne wyzwania straciły ostrość. Ważne stały się nowe dylematy. Linie sporów są zmienne, często dzielą społeczeństwa na „partie jednego tematu”. Stronnictwa socjaldemokratyczne – być może w większym stopniu od politycznej konkurencji – znalazły się pod naciskiem populizmu.

Co więc czeka lewicę? Poprosiliśmy o prognozy i odpowiedzi myślicieli oraz praktyków. Poniżej zamieszczamy pierwszą garść refleksji na ten temat.

Redakcja *Res Humana*

Krzysztof JANIK

## Lewica wobec przyszłości

---

Przyszłość jest nieunikniona – to wiemy na pewno. Cała reszta jest zagadką. Wiemy tylko tyle, że XIX-wieczne marzenia o bezkonfliktowym życiu, sprawiedliwych stosunkach społecznych, równości szans wszystkich obywateli i równomiernym rozłożeniu zasobności materialnej i duchowej nadal będą aktualne. To na tych marzeniach wyrosła współczesna lewica, próbując ideały – obecne wszak od wieków w myślach ludzi – przekuć w realia, zainstalować w rzeczywistości społecznej. Przetworzyć je w program polityczny. Była do tego potrzebna baza społeczna, którą stała się klasa robotnicza. Była potrzebna całościowa narracja – zainicjowali ją Marks z Engelsem (potem kolejni myśliciele). Była potrzebna zorganizowana siła polityczna – stała się nią lewica polityczna, obojętnie w którym wariantcie: socjaldemokratycznym czy komunistycznym.

Odnosiła ona mniejsze lub większe sukcesy. Chyba największym jest fakt, że jej hasła ekonomiczne, społeczne i kulturowe stały się niejako własnością całego świata polityki. Liberałowie wprowadzający ośmiogodzinny dzień pracy, chadecja głosząca za małżeństwami jedнопłciowymi, komercyjna kultura masowa śpiewająca o równości i sprawiedliwości – czyż to nie jest sukces lewicy? Tak wielki, że nawet zrodziły się poglądy, że lewica jest już niepotrzebna, bo postulaty, które ją konstytuowały, zostały zrealizowane. Poglądy na tyle popularne, że wpłynęły na opinię publiczną, na zachowania wyborcze elektoratu. Lewica notuje regres polityczny – losy europej-

skich wielkich partii socjalistycznych mają być tego najlepszym dowodem. Nie liczą się francuscy socjaliści, w defensywie jest lewica włoska, nawet niemieccy socjaldemokraci – choć obecnie rządzą – mają dużo słabszą niż kiedyś legitymację społeczno-polityczną.

Warto zapytać, dlaczego tak się stało? Nie ma tu jednej odpowiedzi. Z możliwych – każda jest niepełna i może być częściowo sfalsyfikowana. Być może lewica – jak kiedyś inne nurty polityczne – źle odczytała rzeczywistość i jej perspektywę. Nie dostrzegła zmian społecznych, a zwłaszcza wzrostu aspiracji i potrzeb człowieka oraz całych grup społecznych. Nie zrozumiała zasadniczej redefinicji pojęcia klasy robotniczej. Zapewne nie bez winy jest tu eksperyment z realsocjalizmem, w którym trzymano się kurczowo i literalnie sugestii Marksa i jego epigonów, zapominając, że nawet wielkie narracje podlegają weryfikacji przez praktykę, a wdrożenie jednej propozycji często czyni inne już nieaktualnymi. Być może nie dostrzeżono dynamiki zmian struktury społecznej i umiejętności dostosowawczych kapitalizmu, którego zdolność do elastycznego reagowania na te zmiany lekceważono. To właśnie przypadek naszego kraju, gdzie przez lata rządziło jedno pokolenie, dla którego punktem odniesienia była traumatyczna pamięć o II Rzeczypospolitej.

Nawiasem mówiąc, to właśnie niezdolność do socjalizacji kolejnych pokoleń, lekceważenie postępu technologicznego i zmian kulturowych, które zawsze niesie kolejna generacja, była przyczyną upadku PRL. Obaliło ją pokolenie jej wychowanków i beneficjentów, zrodzone w latach powojennego wyżu demograficznego. Zaufanie i oczekiwania tego pokolenia zawiodła ekipa Edwarda Gierka, odreagowało ono zatem *Solidarnością* i rokiem 1989. Doszło właściwie do klasycznego konfliktu pokoleń. Z jednej strony – zastępy oddanych (przynajmniej deklaratywnie) członków PZPR, z dominującą częścią ludzi pamiętających biedę lat przed- i powojennych. Z drugiej strony młodzi, bywający na Zachodzie, a przynajmniej znający ten Zachód i mający o nim wyobrażenia (choćby z partyjnej telewizji). Bardziej wiarygodni dla rówieśników, patrzący bardziej do przodu niż ich rodzice. Zaowocowało to po 1989 roku znacznym odmłodzeniem politycznej lewicy, która znów stała się zdolną do wygrywania wyborów i odpowiedzialnego rządzenia państwem. To pokolenie lewicy zainstalowało Polskę na Zachodzie, wprowadziło do NATO i do Unii Europejskiej.

Ale ta generacja zaczęła tracić swoje siły witalne po pierwszych piętnastu latach III RP. Popęłniła błąd PZPR. Lewica tego okresu w zbyt małym stopniu dokonywała wymiany generacyjnej, zbyt słabo i późno otwierała się na nowe idee i środowiska. W obronie przed zarzutami o postkomunizm, nieustannie udawała, że taka nie jest – zarówno w sferze polityki gospodarczej, jak i konfrontacji ideowej. To zamknęło ją we własnej – intelektualnej i społecznej – skorupie. Przestała też dbać o bezpieczeństwo socjalne starszych pokoleń, przekonana, że jeśli ktoś obdarza sentymentem PRL, to politycznie nie ma wyboru – musi na nią głosować. Dowodem na to zamknięcie był rok 2011, kiedy po kolejnych przegranych wyborach do władzy w SLD powraca generacja, która rządziła tą partią na początku lat dziewięćdziesiątych.

Trzeba było dopiero wypadnięcia lewicy z parlamentu, aby zaczęto sobie uświadczać, że „tak dalej już być nie może”. Że potrzebna jest zasadnicza zmiana: ideowa, programowa i pokoleniowa. Że pod szyldem Sojuszu Lewicy Demokratycznej zmiana ta – nawet jeśli ją przeprowadzimy – nie będzie wiarygodna. Stąd odważne decyzje z ostatnich lat: otwarcie się na nowy ruch społeczny zainicjowany przez Roberta Biedronia, alians z Razem, konsekwencja Włodzimierza Czarzastego w działaniu. Przy całym szacunku dla jego oponentów i z braku wystarczająco wnikliwej (długotrwałej) debaty, chyba jednak innej ścieżki nie było. To droga, której pokonanie potrwa długo, ale – jak mi się wydaje – punkt krytyczny został przekroczony, powrotu z niej już nie ma.

Oczywiście, istnieją koszty wyboru takiej drogi, przede wszystkim personalne. Spora część moich Koleżanek i Kolegów uznała, że to nie ich droga. Przypomnę, że na jednym z kongresów SLD przeprowadzono badania ankietowe delegatów pod kierunkiem prof. Anny Pacześniak z Uniwersytetu Wrocławskiego. Już wtedy zadziwił nas prawicowy ideowo profil wielu spośród nich. Nawet nie to, że deklarowali się jako wierzący (kult Jana Pawła II był w apogeum wyobraźni społecznej), ale ich niechęć do środowisk mniejszościowych, ślady nacjonalizmu, aprobata sojuszu państwa z Kościołem. Oni tej nowej lewicy już nie zaakceptują. Nie zainteresuje ona także „ludzi władzy”, których w lewicy i przy niej było sporo. Zmiany nie zainteresują także tych, którzy uważają, że ich przeszłe zasługi dla lewicy (często autentyczne), zwalniają ich z brania udziału w procesie kształtowania się nowej hierarchii wpływów wewnątrz partii. Stąd wiele zacnych Koleżanek i Kolegów stanęło z boku tych zmian, wyrażając w stosunku do nich – różnie przedstawianą publicznie – dezaprobatę.

Do końca tej drogi jest daleko. Ale zawrócić już nie można. Trzeba natomiast i należy zastanowić się nad tym, co dalej, jak ta nowa lewica ma się określić wobec przeszłości, teraźniejszości i – co najważniejsze – przyszłości. Co do tradycji nie mam wątpliwości. Najbardziej kontrowersyjny jej fragment, dotyczący PRL, wymaga nowej narracji. Trzeba przestać mówić o kopalniach i hutach, które wtedy wybudowano, przestać opisywać industrializację, jakiej dokonano. To do niewielu ludzi już przemawia. Terenem naukowego rozpoznania i materiałem do budowania nowej narracji powinny stać się przemiany społeczne, edukacyjny i kulturowy awans najszerzych mas. To jest wielką zasługą polskiego socjalizmu i – prawem paradoksu – przyczyną porzucenia go przez te masy. Tej „świadomościowej roboty” zaniechano jeszcze w latach osiemdziesiątych i nigdy nie stała się ona osią politycznego sporu zainicjowanego przez lewicę. Własną opowieść narzuciła natomiast prawica, a myśmy się tylko nieudolnie bronili. Nawet rządy lewicowych prezesów mediów publicznych niewiele tu zmieniły.

Bardziej skomplikowana jest kwestia aktualnej strategii politycznej. Narzucają ją przede wszystkim okoliczności: rządy partii nieposiadającej żadnego szacunku do pisanych i niepisanych reguł demokracji, narastający bałagan instytucjonalny w zarządzaniu państwem, krach coraz bardziej prywatyzowanych usług publicznych, realnie grożący państwu kryzys finansów publicznych, a w perspektywie stagflacja. Piętnaście lat temu, podsumowując ówczesne rządy PiS, pisałem na łamach *Res Humana*, że bazują one na stereotypach z PRL: dobrej władzy, która daje ludziom pieniądze; woli politycznej, która jest ponad prawem i obyczajami; propagandzie, która objaśnia ludziom świat wykorzystując mity, uprzedzenia, traumy i stereotypy narodowe. Nic się nie zmieniło. Może tylko to, że poparcie rządzącej partii jest większe. PiS zgromadził pod swoją flagą wszystkich zawiedzionych Trzecią RP, beneficjentów świadczeń socjalnych i socjalnopodobnych. Ludzi wierzących, że istnieją jakieś siły (Bóg, państwo, władza), które mają wpływ na ich los i w obliczu wielkich zasług naszego narodu dla ludzkości zginąć im nie dadzą. Ten podział na PiS i „antypis” nie jest naturalny ani społecznie uzasadniony. Decydują o nim bardziej lęki niż nadzieje, bardziej traumy tu też, niż perspektywy wychodzenia z nich. Ale jemu właśnie ekipa rządząca podporządkowała wszystko: decyzje polityczne i politykę historyczną, utrwalając i rozszerzając go na coraz to nowe obszary.

Można przyjąć, że elektorat PiS jest bardziej jednorodny mentalnie, niż elektorat „antypisu”, bardziej zdeterminowany i przekonany o bezalternatywności swojej postawy. Inaczej jest po przeciwnej stronie, w której lokuje się też lewica. Tam istotne są podziały polityczne, światopoglądowe i ideologiczne. Hasło „W jedności siła!” ma kiepskie podstawy programowe i światopoglądowe, wywołuje w istocie oczekiwanie społeczne, że rząd „antypisowski” będzie z natury lepszy od poprzednika. Jeśli tak się nie stanie, to za cztery lata zwycięstwo PiS będzie jeszcze większe, a okres rządzenia dłuższy.

Dlatego uważam, że lewica chce i musi jakoś wyróżniać się po stronie „antypisu”. Dobry przykład z ostatnich dni to kwestia polityki mieszkaniowej. Donald Tusk ogłosił program pomocy tym, których stać na kredyty mieszkaniowe, czyli i tak nie najgorzej sytuowanych. Lewica odpowiada programem szerokiego budownictwa publicznego, adresowanego do tych, którzy zdolności kredytowej nie mają. Trochę bym pomarudził, że nie ma w nim należytego miejsca dla spółdzielczości mieszkaniowej, która wszak jest dziełem lewicowego myślenia i działania. To – w pigułce – najlepszy dowód, że lewicy z liberałami może być, owszem, po drodze w odbudowie demokracji, ale w innych politykach publicznych już tak być nie musi. A jeszcze nie rozpoczęto dyskusji o polityce socjalnej, senioralnej, edukacyjnej, zdrowotnej, w których różnic będzie jeszcze więcej. Ten kurs na wyraziste podkreślanie lewicowego etosu powinien zostać utrzymany. Nowa Lewica powinna być alternatywą nie tylko dla Prawa i Sprawiedliwości, ale także dla innych partii obecnych na polskiej scenie politycznej. Marzy mi się sytuacja, w której ta scena – po kilku latach – wraca do naturalnego podziału, w którym lewica odnajduje swoje miejsce, co odzwierciedlałoby nie tylko wybory ideowe, ale i polityczne, społeczeństwa polskiego. Marzenie to, ma – moim zdaniem – realne podstawy, by się spełnić.

Mam zarazem świadomość, że nie będzie to łatwe. Aby naszkicować i zrealizować ten projekt, niezbędna jest próba zarysowania odpowiedzi na pytanie, jak będzie wyglądać przyszłość Polski, Europy i świata. Zależne to jest od wielu czynników zlokalizowanych poza granicami naszego kraju, niezależnych od kolejnych ekip przywódczych lewicowych partii. Tych zewnętrznych, politycznych czynników jest kilka, poczynając od nowego układu geopolitycznego i związanych z nim konfliktów, poprzez przyszłość instytucji ładu międzynarodowego, na procesach integracji europejskiej kończąc. W tym zakresie, lewica musi być siłą propaństwową, opowiadającą się jednoznacznie za pogłębianiem powiązań w ramach Wspólnoty i rozszerzaniem granic Unii na nowe kraje. Słowem, powinna być najbardziej prointegracyjną siłą polityczną w Polsce, opowiadającą się za budowaniem etosu europejskiego, od kultury poprzez edukację, na gospodarce kończąc. W niczym nie narusza to przecież tożsamości i identyfikacji narodowej, stanowiąc inne porządki intelektualne i polityczne.

Ale przyszłość niesie także wyzwania, na które nie jest tak łatwo odpowiedzieć. Ludzkość zaczyna się pasjonować postępowaniem technologicznym, sztuczną inteligencją i jej wpływem na życie społeczne. Rodzi się pytanie, jaki to będzie miało wpływ na strukturę klasową (aby pozostać przy tradycyjnej nomenklaturze) polskiego – i nie tylko – społeczeństwa? Jakie będą osie podziału społecznego?

Niewątpliwie, największą grupą społeczną pozostaną pracownicy najemni, spośród których dominować będą zatrudnieni w sferze usług publicznych, bezpośrednio i pośrednio zależni od państwa. Polityka socjalna i płacowa wobec tej grupy wpływać będzie na pracodawców, bez względu na rodzaj własności i jej formalno-finansowy kształt. Może zatem lewica powinna się orientować na tę grupę społeczną, nie odmawiając oczywiście wsparcia dla pozostałych grup ludzi pracy najemnej, zachowując prawo do interwencji w przypadkach łamania praw pracowniczych? Istotą zagadnienia jest nie tylko propozycja czterodniowego tygodnia pracy, ale – obok respektowania praw pracowniczych – także zapewnienie dostępu do kultury, nieustannej edukacji, beztrudnych warunków życia rodziny. A więc jakość i poziom usług publicznych jako centralny punkt lewicowego programu.

Postęp przyniesie jednak także nowe osie podziału. Wyostrzy rozdział pomiędzy konserwatystami a postępowcami, zepchnie masy ludzi w obszar cywilizacyjnego zapóźnienia. Po której stronie więc stanąć: młodych, otwartych na zmiany i posiadających łatwość dostosowania się, czy starych, wykluczonych technologicznie z tego

nowego życia? Lewica zawsze była za postępowaniem w każdym obszarze życia społecznego, ale w polskim przypadku miliony zostaną wypchnięte z tego procesu. Widać to już dziś. Wykluczenie cyfrowe ma wpływ na poglądy i wybory polityczne. Ten proces będzie jeszcze bardziej widoczny na przestrzeni najbliższych dekad. Jak zatem określić proporcje pomiędzy postępowaniem a przyzwyczajeniami milionów, w sferze ideowej, programowej i politycznej?

Przyszłość przyniesie również wyzwania o charakterze etycznym i w zakresie praw człowieka. Co lewica zrobi z systemem powszechnej inwigilacji obywateli, który już dziś jest budowany na naszych oczach? Którą wartość wybierze: prawo do prywatności, czy prawo do bezpiecznego życia? I jak ten wybór uzasadni? To bliska perspektywa. Dalsza ma już charakter bardziej moralny. Co z eutanazją? Co z postępowaniem w medycynie, zwłaszcza transplantologii? Zgodzimy się na daleko idące praktyki przeszczepowe, przymusowy pobór narządów, w tym może i mózgu? Technicznie jest to wyobrażalne. A politycznie i etycznie? Trzeba o tym rozmawiać.

Wreszcie, problem istotny na dziś i na jutro, to imigranci, których będziemy potrzebować w liczbie kilka milionów na przestrzeni najbliższych kilkunastu lat, bo braknie nam rąk do pracy, w tym w sferze usług publicznych. Jeśli w najbliższych latach odejdzie nam z pracy kilka milionów ludzi, to tyle samo będziemy potrzebować. Część z nich zastąpią roboty i sztuczna inteligencja, ale emerytami też ktoś będzie się musiał zająć. Fachowcy oceniają, że za 8-10 lat będziemy potrzebować w Polsce ok. 4-5 milionów imigrantów. Tu właśnie widzę wielkie pole do popisu dla działania lewicy. To łagodzenie konfliktów kulturowo-religijnych, walka o ich prawa pracownicze, zapewnienie im pakietu praw politycznych, określenie drogi do obywatelstwa. Być może to „najwydajniejszy” program polityczny dla lewicy na najbliższe lata.

W tym krótkim tekście nie da się zaprezentować wszystkich problemów, przed którymi już stoi i zostanie postawiona w przyszłości polska lewica. Ale samo hasło, że „lewica jest Polsce potrzebna” nie rozwiązuje żadnego z nich. Potrzebna nam jest przede wszystkim rozmowa, a nawet kłótnia, o stosunek do tych problemów, o ich pełną listę i sposoby ich rozwiązywania. Bez tego lewica będzie zamierać.

---

**Autor, były sekretarz generalny i przewodniczący Sojuszu Lewicy Demokratycznej, jest profesorem krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.**

Robert KWIATKOWSKI

## Cztery wyzwania, z jakimi musi zmierzyć się lewica

---

Dziękuję redakcji za zaproszenie do udziału w dyskusji, także dlatego, że postawione w tytule pytania pomagają uporządkować myśli i znaleźć azymut w gmatwaninie codziennych wyborów, których muszę jako czynny polityk dokonywać. A pytania są niebanalne i wywołują kilka, być może sprzecznych, reakcji i odpowiedzi.

Pierwsza z nich to reakcja zaprzeczenia: przecież to nie świat (czyli otoczenie polityczne) ma zaprojektować lewicę, która mu będzie odpowiadała, tylko przeciwnie: lewica chce i powinna tworzyć świat swoich marzeń, wedle swoich, a nie cudzych planów, narzuconych czy perswadowanych.

Owszem, marzą nam się szklane domy i choć nikt ich nie widział, a tym bardziej w nich nie zamieszkał, wiemy, że powinniśmy uczynić co w naszej mocy, by rodzaj ludzki przeprowadzić z suterenu i poddaszy do przestrzeni jasnych, nowoczesnych, czystych, technicznych wiarą w lepsze jutro, niosących optymizm. Tempo i sposób przeprowadzki, kolejność zasiedlania, a tym bardziej szczegóły dotyczące budowy siłą rzeczy schodzą wobec marzeń na dalszy plan, bo jak wiemy mieszkanie jest prawem, nie towarem.

Drugie podejście jest poprawną, choć wymijającą odpowiedzią na tytułowe pytanie: potrzebna jest taka lewica, która uczyni świat lepszym. Sprawi, że pokolenie rodziców będzie mogło przekazać swoim dzieciom kraj i świat w lepszym stanie, niż wtedy, kiedy przejmowało za niego odpowiedzialność. To oczywiście odpowiedź, jakiej mógłby udzielić każdy polityk, nie tylko lewicowy, choć wiara w postęp, w lepsze jutro charakteryzuje zwłaszcza lewicę. Niewypowiedzianym założeniem, fundamentem tego podejścia jest przekonanie o ograniczonych możliwościach kształtowania przez nas rzeczywistości – tytułowego *świata*. Stać nas najwyżej na korygowanie toru lawiny biegnących zdarzeń. Co odniesie taki skutek, że pozostawimy po sobie świat trochę lepszy.

Przywołane przeze mnie wcześniej szklane domy nietrudno umieścić w historycznym, a nie tylko literackim kontekście. Odrodzenie Polski po prawie dwóch wiekach niewoli było naczelnym zadaniem jednego z nurtów ówczesnej lewicy, PPS-owskiej. Ten drugi nurt – komunistyczny, chciał przede wszystkim rozwiązania problemów społecznych wywołanych przez rewolucję przemysłową przetaczającą się przez polskie ziemie, podzielone między trzech zaborców. Pouczającym paradoksem jest to, że ci, którzy koncentrowali się na niepodległości, zostawili po sobie potężny, choć dziś niedoceniany dorobek: równe prawa wyborcze kobiet i mężczyzn, ośmiogodzinny dzień pracy, prawo do strajku, ubezpieczenia chorobowe. Nie tylko niepodległość, nie tylko konstytucja marcowa są przecież częścią ich spuścizny.

Nurt komunistyczny, który na skutek II wojny światowej przejął na prawie pół wieku odpowiedzialność za państwo i naród, zamiast realizować swój projekt społeczny (walka z kapitalistami, kolektywizacja wsi, walka z Kościołem i religią) skoncentrował się *de facto* na celach, jakie narzuciło mu samo życie, a nie własna ideologia: podniesienie kraju z ruin, jakie pozostawiła wojna, zagospodarowanie Ziemi Zachodnich, reforma rolna, alfabetyzacja, urbanizacja itd.

Czy płynie z tej historii jakiś wniosek dla tych, którzy projektują odpowiedź na tytułowe pytanie cyklu *Res Humana*? Chyba taki, że warto mieć swoje idee i plany; kiedy jednak można będzie zacząć je realizować, okaże się, że to nie my ustalimy, co jest w istocie ważne. Życie skoryguje nasze zamierzenia.

No dobrze, ale przecież można i warto zapytać, na rozwiązywanie jakich spraw mamy się przede wszystkim przygotować?

Widzę cztery takie obszary.

Po pierwsze **demografia**. Jeszcze nie tak dawno, bo za życia mojego pokolenia Ziemię zamieszkiwały 3 miliardy ludzi. Dziś jest to 8 miliardów, wkrótce będzie 10, choć ta tendencja może się później odwrócić. Dla odmiany, ludność Polski ustabilizowała się na poziomie 38 milionów i w najbliższych latach zacznie (jak mówią prognozy) dość szybko maleć – do 2050 roku o 4,4 miliona osób. Te podstawowe informacje mają dla polityki siłę huraganu, bo będą wywoływać potężne nierównowagi we wszystkich obszarach: od granicy państwa po model gospodarczy. Trzeba będzie znaleźć źródło finansowania rent i emerytur coraz większej liczby coraz starszych Polek i Polaków. Już dziś stanowi to centralny element polityki, choć polscy politycy tak tego nie definiują.

Przyjechały do nas miliony z Ukrainy (nie tylko z powodu wojny), przyjeżdżają za pracą dziesiątki tysięcy z Azji. Tych ostatnich polska gospodarka bardzo potrzebuje, ale jeszcze bardziej potrzebuje ich rządząca partia, która sukces wyborczy w roku 2015 oparła na strachu przed islamskimi imigrantami, czyli takimi samymi, na których przyjazd w skali masowej dziś się godzi.

Sukces PiS w wyborach 2019 roku przyniósł z kolei program 500+, który miał być sposobem na zwiększenie dzietności w polskich rodzinach. Program okazał się równie wielkim sukcesem politycznym, jak klęską, jeśli chodzi o politykę pronatalistyczną. Liczba urodzeń spada, a różnica między liczbą zgonów i urodzeń gwałtownie rośnie. Nie o to jednak, jak się okazało, w tym programie szło.

Innymi słowy: władza w trosce o „zachowanie jednolitego etnicznie i religijnie charakteru Polski” godzi się na masową migrację do niej milionów osób prawosławnych i dziesiątków tysięcy muzułmanów. W trosce o zwiększenie dzietności wydaje ponad 40 miliardów rocznie na program 500+, ale walczy w imię ortodoksji katolickiej ze skutecznymi, bo leczącymi bezpłodność programami *in vitro*, które byłyby w skali kraju jakiegoś sto razy tańsze. I co najważniejsze – zyskuje dla tych wygibasów politycznych poparcie co najmniej jednej trzeciej społeczeństwa.

Polityka lewicowa powinna znaleźć przekonującą, społecznie akceptowalną alternatywę dla tych praktyk. Jasne, że zarówno program 500+, jak i dotychczasowy wiek emerytalny powinny pozostać bez zmian, ale na te benefity w polityce społecznej musi pracować znacznie więcej pracowników niż obecnie. Wyzwania, jakimi są zmiany demograficzne stawiają też na porządku dziennym pytanie: „Polak, to znaczy kto?” Co trzeba zrobić i umieć, żeby zostać Polakiem/Polką? Jak na to pytanie odpowie lewica? Czy chcemy utrzymania odziedziczonego po II wojnie światowej monoetnicznego charakteru naszego państwa? Polskie doświadczenia sprzed 1939 roku były różne, II Rzeczpospolita składała się w jednej trzeciej z mniejszości narodowych. Nie potrafiliśmy sobie z nimi ułożyć wówczas dobrych relacji. Czy potrafilibyśmy dziś?

Po drugie – człowiek, uginający się pod ciężarem **technologii**. Tu już nie potrzebujemy doświadczenia 60-lątka. Nawet 40-latek pamięta przecież, jak wyglądał świat przed rokiem 1989 (wtedy powstała sieć www), a zwłaszcza przed 2004, kiedy powstał Facebook. Pod wpływem technologii człowiek się zmieniał zawsze. Ale zmiany, jakich doświadczamy od tego czasu, są równie gwałtowne, co nieprzewidywalne. Wywracają do góry nogami świat wokół nas, ale przede wszystkim świat między nami, świat relacji międzyludzkich. Edukacja, kultura, a zwłaszcza polityka są coraz bardziej odległe od swych klasycznych pierwowzorów, opisywanych w podręcznikach i encyklopediach. Algorytmy zaczynają rządzić ludzkim zachowaniem. Model biznesowy, który premiuje „klikalność” i inne dowody na przyciągnięcie uwagi, generuje konflikt i polaryzację. I rzeczywiście – konflikt rozlewa się po wszystkich obszarach naszego życia. Stres i nieszczęścia z tym związane zawdzięczamy właśnie takim modelom biznesowym. Jak je określić, jak się od nich uwolnić i czym je zastąpić? Jeśli czegoś szybko nie wymyślimy – pewnie zwiariujemy; nie będziemy już w stanie ani się uczyć, ani pracować, ani wypoczywać. Co warto jest takie życie?

Po trzecie – **klimat**. Klapki z oczu opadają nawet największym niedowiarkom. Już dociera do nas, co to znaczy żyć w antropocenie, czyli epoce geologicznej, w której kluczową rolę w kwestii wpływu na ekosystem i geologię odgrywa człowiek. Nawet i to ma jednak mniejsze znaczenie wobec tempa zmian klimatu, które (jak w demografii) może w ciągu swojego życia zaobserwować jeden człowiek. Czy ludzkość zdoła się na tę zmianę przygotować? Czy damy radę się do niej dostosować? Pomysł, by zacząć kolonizować sąsiednie planety jest wątpliwy nawet w przypadku Elona Muska, o pozostałych ośmiu (!) miliardach ludzi nie wspominając.

Transformacja energetyczna promowana przez Zachód jest tylko jednym z wielu rozwiązań, które mogą zmniejszyć tempo zmian. Choć oczywiście trzeba powiedzieć, że go przecież nie odwrócić, jeśli w ogóle w istotny sposób wpłyną na klimat. Zdaje się, że przyroda wskutek działań człowieka znalazła się na równi pochyłej, a takie zmiany, jak topnienie wiecznej zmarzliny, uruchamiają kolejne nieodwracalne przez człowieka procesy. Imigranci z Bliskiego Wschodu i zatruta Odra to przecież też skutki zmian klimatu!

Czy lewica ma do zaoferowania w sprawach klimatu jakąś szczególną propozycję? Póki co bardziej kojarzą się z tą kwestią Zieloni, choć trudno uznać, że ich oferta spotyka się w Polsce z masową akceptacją. Nadal dominuje zaczerpnięta ze Starego Testamentu fraza „Czyńcie sobie ziemię poddaną!”, z upodobaniem powtarzana przez wielu, nie tylko prawicowych wyborców. Liczne ograniczenia wprowadzane na międzynarodowych konferencjach nie zyskują szerokiego poparcia. Kraje globalnego Południa wyraźnie odstają w tym wyścigu na zobowiązania, słusznie wytykając, że rewolucja przemysłowa, która wywołała zmiany klimatu przysporzyła uprzemysłowionej Północy korzyści, za które dziś płacą wszyscy, zwłaszcza najbiedniejsi. A oni, traf chce, żyją głównie na Południu i są na katastrofę klimatyczną najbardziej narażeni.

A może istotą lewicowych propozycji, jak walczyć o ocalenie ludzkości przed katastrofą klimatyczną, powinny być ambitne projekty o globalnym charakterze? Pomysł kolonizacji Marsa, rzucony przez Elona Muska, jest karykaturą programu „Apollo” prezydenta J. F. Kennedy’ego. Dziś bardziej nam potrzeba programu z myślą o Ziemi, mniej o Księżycu, ale szczególnie kombinacja odwiecznego ludzkiego marzenia, wielkiego wysiłku naukowego i technicznego i przywództwa politycznego jest nadal inspirująca.

I po czwarte wreszcie: **Wschód**. Unia Europejska, integracja z Zachodem, cywilizacja łacińska – wszystkie te hasła, jak zakłęcia, moje pokolenie i to wcześniejsze, odmieniało na różne sposoby. I kiedy już wydawało się, że problemy za naszą wschodnią granicą możemy bezpiecznie oglądać zza pleców NATO, USA i Unii Europejskiej, Wschód odezwał się po raz kolejny w naszej historii. I jako zagrożenie, i jako szansa.

Ponoć Napoleon mawiał, że geografia to przeznaczenie. Nasze położenie to coś więcej chyba niż geografia, ...ale czy przeznaczenie? Coraz więcej wskazuje na to, że jesteśmy państwem frontowym w kluczowym konflikcie rozpoczynającego się na nowo XXI stulecia, nie tylko zresztą o Rosję tu chodzi. Chiny, bo o nich oczywiście mowa, mają swoje metody na rozgrywanie takich konfliktów, a kluczową zmienną jest w nich czas. Aż prosi się o analogię z konfliktem koreańskim, który przechodził różne fazy; świat się zmienił nie do poznania, a konflikt jak trwał, tak trwa, angażując z jednej strony Chiny i Rosję, a z drugiej USA i ich regionalnych sojuszników. Chiny – państwo, a właściwie cywilizacja, ma wszelkie atuty, by stać się nowym biegunem politycznym świata. Jaka będzie polska polityka – to jest na razie oczywiste, ale przed nami masa wyzwań płynących ze Wschodu. Nie potrafiliśmy sobie z nimi poradzić w przeszłości, czy potrafimy obecnie?

Zapewne można tę listę wyzwań i koniecznych odpowiedzi rozszerzać o kolejne. Jak choćby jakość i sprawność naszego państwa i jego przyszłość w ramach projektu europejskiego. Ale, choć to wyzwanie nie lada, ma ono chyba mniej dramatyczny charakter, niż te cztery, które opisałem powyżej i na których – w moje ocenie – warto się skupić.

Wątpię, żeby możliwa była odpowiedź na te wyzwania, formułowana tu i teraz w postaci jakiegoś programu na lata. Ale jestem przekonany, że będziemy się stale – my i nasi następcy – o te wyzwania potykać. Oby z dobrym skutkiem.

---

Autor jest posłem na Sejm, przewodniczącym Stowarzyszenia Ordynacka i sekretarzem generalnym Stowarzyszenia Lewicy Demokratycznej.



Jerzy J. WIATR

# Dylematy lewicowej tożsamości

Historia lewicy – zarówno historia idei, jak historia ruchów politycznych o lewicowej proweniencji – wskazuje na to, że lewica wyrasta ze sprzeciwu wobec niesprawiedliwych stosunków społecznych. Jest więc buntem w imię lepszego jutra w stosunku do tego, co istnieje dziś. W takim podejściu do zastanego świata lewica zasadniczo różni się od konserwatywnej akceptacji zastanej rzeczywistości, która dopuszcza jedynie ograniczone zmiany, ale nacisk kładzie na kontynuację.

Jeśli jednak ta właściwość lewicy pozostaje jej cechą immanentną, to treści wkładane w ów sprzeciw ulegają poważnej zmianie. W XIX stuleciu, gdy rodziły się masowe partie socjalistyczne, podstawowym, w istocie wręcz jedynym, wymiarem lewicowości był sprzeciw wobec niesprawiedliwych stosunków ekonomicznych, których korzenie ówczesni socjaliści widzieli w prywatnej własności środków produkcji. Marksowska wizja sprawiedliwości społecznej miała jednoznacznie ekonomiczny charakter: oznaczała postulat zastąpienia prywatnej własności środków produkcji własnością społeczną, co w praktyce dwudziestowiecznych państw socjalistycznych oznaczało własność państwową.

Historia państw socjalistycznych pokazała jednak, że upaństwowienie środków produkcji nie powoduje automatycznie zniesienia niesprawiedliwości społecznej, która odradza się w postaci przywilejów warstwy (czy, jak twierdził Milovan Đilas, klasy) panującej. Współczesna lewica nie postuluje więc nacjonalizacji podstawowych działów gospodarki, lecz skupia uwagę na kwestii sprawiedliwego podziału.

Sprawa jest jednak skomplikowana, gdyż trudno o jednoznaczną odpowiedź na pytanie, co stanowi sprawiedliwy podział. Nikt poważny nie domaga się, by oznaczał on absolutną równość w dostępie do dóbr materialnych. Czy jednak istnieje bezsporne kryterium sprawiedliwego podziału? Tzw. merytokratyczna sprawiedliwość zakłada, że jedynym kryterium zróżnicowania powinien być wkład jednostki. Krytycy jednak zwracają słusznie uwagę na to, że jednostki od urodzenia mają nierówne szanse. Francuski socjolog Pierre Bourdieu (1930–2002) wprowadził pojęcie „kapitału społecznego”, który powoduje, że na przykład szanse osiągnięcia wysokiej pozycji społecznej kogoś urodzonego w rodzinie o wysokich kwalifikacjach czy o wysokiej pozycji materialnej są znacząco większe, niż szanse rówieśnika urodzonego w ubogiej i słabo wykształconej rodzinie. Uświadomienie sobie tej prostej prawdy prowadzi do relatywizacji merytokratycznej sprawiedliwości. Lewicowy postulat sprawiedliwości ekonomicznej można więc ująć jako sprzeciw wobec nadmiernych i społecznie nieuzasadnionych różnic, na przykład wielkich przywilejów wynikających ze sprawowania kierowniczych funkcji politycznych. Oznacza to zarzucenie postulatu absolutnej równości ekonomicznej na rzecz postulatu zmniejszania różnic i eliminowania nieuzasadnionych przywilejów. Taka ewolucja lewicowego myślenia o sprawiedliwości społecznej oznacza więc odrzucenie postulatu pełnej równości i otwiera drogę do porozumienia z tą wersją liberalizmu, której wyrazicielem był John Rawls (1921–2002). Niestety, część ludzi lewicy (zapewne bardziej z braku wiedzy, niż w wyniku starannego przemyślenia) utożsamia liberalizm z tzw. neoliberalizmem ekonomicznym, który z tradycją liberalną ma niewiele wspól-

nego. Rezultatem jest pogardliwe nazywanie liberałów „libkami” (jak to czyni jeden z publicystów lewicowych), a nawet wygłaszanie opinii, iż lewicy jest bliżej do Prawa i Sprawiedliwości, niż do liberalnej Platformy Obywatelskiej.

Kwestia komplikuje się dodatkowo, gdy uświadomimy sobie, że wymiar ekonomiczny nie jest ani jedynym, ani nawet głównym wymiarem lewicowości w obecnym stuleciu. Rośnie znaczenie innej płaszczyzny lewicowej tożsamości – kulturowej. Wspólnym elementem obu wymiarów lewicowości – ekonomicznej i kulturowej – jest sprzeciw wobec niesprawiedliwości. Ale w aspekcie kulturowym niesprawiedliwość nie oznacza dyskryminacji ekonomicznej, lecz taką, która wynika z odmawiania równych praw ludziom należącym do mniejszości z uwagi na przynależność etniczną, przekonania religijne, płeć, orientację seksualną. Opowiadając się przeciw wszystkim formom dyskryminacji, lewica rozszerza pojęcia równości i sprawiedliwości, pozbawia je czysto ekonomicznego charakteru, a tym samym wychodzi naprzeciw oczekiwaniom tych, którzy w szczególności wielkim stopniu wrażliwi są na nieekonomiczne przejawy społecznej niesprawiedliwości, na przykład antysemityzm i homofobie.

Dwa wymiary lewicowości, omówione tu pokrótce, nie są logicznie sprzeczne. Wielu ludzi lewicy łączy oba wymiary bez jakichkolwiek trudności. Socjologicznie jednak rzecz analizując, natrafiamy na ważny problem. Wrażliwość na kulturowy wymiar sprawiedliwości społecznej jest znacząco skorelowana z wykształceniem, które zarazem pozostaje we współzależności (już nie tak mocno, ale jednak znacząco) ze statusem materialnym. Konsekwencją tego zjawiska jest to, że wrażliwość na kulturowy wymiar niesprawiedliwości jest silniejsza w środowiskach lepiej wykształconych i zamożniejszych niż w środowiskach ludowych, zwłaszcza wiejskich. Nie musi to być jednak zjawisko wieczne. Stosunek do mniejszości ulega korzystnej zmianie we wszystkich warstwach społecznych, więc możemy liczyć na to, że z czasem istniejące obecnie różnice w tej kwestii będą słabły.

Nie stanie się to jednak automatycznie. Dziś centralnym zadaniem lewicy jest budowanie i upowszechnianie przekonania o wartości szeroko rozumianej sprawiedliwości społecznej, łączącej harmonijnie postulat sprawiedliwego podziału z postulatem poszanowania i realizowania równych praw dla wszystkich mniejszości. W tak rozumianym projekcie lewicowym istnieje ważne miejsce dla ruchu laickiego. Jego wieloletnia historia naznaczona jest odważnym sprzeciwem wobec monopolu autorytetów religijnych, które – także w Polsce – ponoszą znaczną odpowiedzialność za szerzenie i podtrzymywanie stereotypów skierowanych przeciw mniejszościom. Antyjudyzm, silny nie tylko w katolicyzmie, ale także w luteranizmie, stanowił jedno ze źródeł nowoczesnego antysemityzmu, a homofobia miała i ma silne zakorzenienie w sposobie postrzegania życia seksualnego propagowanym przez autorytety religijne. Dziś sprzeciw wobec takich postaw obejmuje coraz liczniejsze środowiska, zwłaszcza w młodszym pokoleniu. To może być szansą dla ruchu laickiego, który powinien szukać wspólnego języka z nowymi ruchami wolnościowymi.

## **FUNDUSZ WSPARCIA RES HUMANA TRWA**

W pierwszych tygodniach 2023 roku Fundusz Wsparcia *Res Humana* zasilili wpłaty dokonane przez następujące osoby:

Pani Bożena BIAŁKOWSKA z Gliwic  
Pan Gustaw BOROWSKI z Warszawy  
Pan Antoni JAŚKIEWICZ z Koszalina  
Pan Zbigniew JUDA z Jugowic

Pani Alfreda ŚLUSARCZYK z Krzeszowic  
Pan Daniel ZBYTEK z Warszawy

Bardzo serdecznie dziękujemy.  
Redakcja *RES HUMANA*

# PO ROKU WOJNY

Przedrukujemy, za zgodą Autora i Wydawcy, rozdział pióra Aleksandra Kwaśniewskiego z książki *The Disruption of Eastern Policy. Looking East from Warsaw and Berlin*<sup>1</sup> (Zerwanie z [dotychczasową] polityką wschodnią. Patrząc na wschód z Warszawy i Berlina – tłum. rob. RH). Przygotowane przez warszawskie biuro socjaldemokratycznej Fundacji im. Friedricha Eberta wydawnictwo ukazało się 8 marca br. Uznaliśmy je za na tyle ważne, że o kilka dni opóźniliśmy druk naszego periodyku – by móc przedłożyć naszym Czytelnikom do lektury tekst byłego prezydenta RP.

Wspomniana książka nie jest bowiem zwykłą monografią autorstwa polskich i niemieckich ekspertów od spraw międzynarodowych oraz podsumowujących całość artykułów dwóch polityków – Aleksandra Kwaśniewskiego i Nilsa Schmida, obecnego rzecznika frakcji SPD w Bundestagu do spraw polityki zagranicznej. To ważny element dokonującego się w tej partii zwrotu, „przełomu czasów”, „przewrotu kopernikańskiego”, ogłoszonego rok temu w niemieckim parlamencie przez kancлера Olafa Scholza. Analizy polskich doświadczeń, opinie polskich polityków i doradców mają zostać uwzględnione w nowym myśleniu liderów niemieckiej – rządzącej! – centrolewicy. Sądzymy, że głos z Polski może mieć w tej materii niebagatelne, realne znaczenie.

Dość powiedzieć, że na prezentację książki do Warszawy przybył współprzewodniczący SPD Lars Klingbeil, a w towarzyszących temu wydarzeniu dyskusjach (poufnych oraz otwartej) brali udział także byli premierzy Szwecji i przewodniczący Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Magdalena Andersson i Stefan Löfven (obecny szef Partii Europejskich Socjalistów), a także przedstawiciele lewicowych partii z Europy Środkowej.

Zachodząca reorientacja niemieckiej polityki wobec Rosji i Wschodu kontynentu ma głęboki charakter. Znacząco wpłynie to na obraz sytuacji. Po wojnie w Ukrainie niewiele rzeczy pozostanie niezmiennych – i z pewnością nie ta. Z nie do końca zrozumiałych przyczyn, dokonująca się zmiana jest traktowana przez znaczącą część polskiej klasy politycznej i opinii publicznej z nieufnością i niedowierzaniem. Wbrew faktom.

Przekład tekstu otrzymaliśmy od Wydawcy (aktualnie przygotowywane są polska i niemiecka wersje książki). Do tytułu wprowadziliśmy niewielką zmianę.

**Redakcja Res Humana**

Aleksander KWAŚNIEWSKI

## Perspektywy nowej europejskiej polityki wschodniej

*Tłumaczenie z języka angielskiego*

Dwudziesty czwarty lutego 2022 roku z całą pewnością oznacza punkt zwrotny we współczesnej historii stosunków europejskich, a nawet światowych.

Przed rosyjską napaścią na Ukrainę Europejczycy żyli nadzieją, że ich wielki sąsiad na wschodzie może być partnerem zaufanym i niezawodnym. Nikt rzecz jasna nie zapomniał o tym, że Moskwa dokonała aneksji Krymu, wywołała wojnę w Donbasie, ingerowała w wybory i referenda w innych krajach, a syryjskie miasta zamieniła w zgłisz-

cza. Przez osiem lat dialog polityczny znajdował się w stanie zamrożenia. Jednocześnie Europejczycy handlowali z rosyjskimi firmami państwowymi, robili interesy z oligarchami i poszukiwali możliwości współpracy z Kremlem, aby rozwiązać problemy w innych częściach świata. Nie było akceptacji dla zmian politycznej mapy sił, ale można było wyczuć trochę naiwną wiarę, że w bliżej nieokreślonym czasie korekty dokonane na niej przez Rosję przestaną być przeszkodą dla bieżących przedsięwzięć.

Istniało też przekonanie, że wszyscy należymy do jednej kultury. Na Rosję spojądano jako na kraj Dostojewskiego, Tołstoja, Czajkowskiego, Kandinsky'ego, Strawińskiego, Prokofiewa, Szostakowicza, Siergieja Korolowa i wielu innych, którzy wnieśli ogromny wkład w dziedzictwo ludzkości. Musiały dopiero pojawić się przerażające obrazy z Buczy, Irpinia i Mariupola, aby opinia publiczna na Zachodzie – zszokowana niehumanitarną brutalnością i skalą pogwałceń międzynarodowego prawa konfliktów zbrojnych – uznała, że w zachowaniu rosyjskich żołnierzy dostrzec można ślad zupełnie innego dziedzictwa, przywodzącego na myśl *монголо-татарское иго* (jarzmo mongolsko-tatarskie, okres dwustu lat w XIII i XIV wieku, gdy księstwa ruskie istniały jako państwa zależne, lennicy Złotej Ordy). Zbrodni wojennych dokonywano w ramach nikczemnej taktyki, najpewniej na rozkaz dowódców i przełożonych, jednak zgoda na uczestnictwo w tym teatrze okrucieństwa wymagała odrzucenia podstawowych zasad moralnych.

Wielu liderów świata zachodniego pamiętało próby zaprowadzenia demokracji w Rosji. Po zakończeniu zimnej wojny Zachód wyciągnął dłoń do Kremla w szczerym geście partnerstwa. Wiele udało się osiągnąć w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, w okresie wielkiego paneuropejskiego optymizmu. Tłumy demonstrantów doprowadziły do upadku muru berlińskiego. Środkowi Europejczycy wynegocjowali wycofanie się wojsk radzieckich z ich terytoriów oraz prawo do dokonywania własnych wyborów politycznych i w dziedzinie bezpieczeństwa. NATO i UE otworzyły się na nowe państwa członkowskie. Byłe republiki radzieckie odzyskały (lub wybiły się na) niepodległość. Rozpadł się dwubiegunowy świat.

Czy Zachód przeoczył zmianę w polityce Moskwy? Z dzisiejszej perspektywy rzeczywiście można odnieść wrażenie, że niektórzy potrzebowali zbyt wiele czasu, aby dostrzec, że Władimir Putin to nie Borys Jelcyn. Jako wspólnota nie potrafiliśmy przyznać, że nowy prezydent i nowe elity skłaniają się ku imperializmowi i – bardziej ogólnie – nie potrafiliśmy zrozumieć rosyjskich tęsknot za utraconą świetnością (które najwyraźniej wyparły pragnienie bogactwa, społeczeństwa otwartego i sprawnego państwa). Ignorowano coraz więcej dowodów – dwie wojny w Czeczenii, wojnę w Gruzji, liczne zamrożone konflikty na obszarach poradzieckich. Agresywne deklaracje traktowano jako przesadne (np. podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w 2007 roku). Niepokój, wyrażany przez sąsiadów Rosji, nie budził większego zainteresowania. Ostrzeżenia o nieuchronnych nadużyciach projektów Nord Stream, które miały upolitycznić rynek gazu i wzmocnić zdolność Rosji do wywierania nacisku na Europę Środkową i Zachodnią, są dobitnym przykładem tej błędnej oceny sytuacji.

Zachód od dawna zdawał sobie sprawę, że o sile gospodarczej Rosji stanowi w najważniejszej mierze wydobywanie i eksport surowców, ropy naftowej i gazu ziemnego, a nawet węgla. Od tej strony Rosja nie wydawała się groźna. Stany Zjednoczone przeniosły środek ciężkości uprawianej przez siebie polityki na Pacyfik, dostrzegając w Chinach rosnącą potęgę zdolną zakwestionować zastany porządek. Europa korzystała z dywidendy pokoju nawet wtedy, gdy Moskwa zaczęła informować o swoich rzekomych sukcesach na polu nowoczesnych zbrojeń. Nie można odmówić sensu koncepcji, w ramach której tania energia wykorzystuje się do wzmocnienia gospodarki, ale jeśli już podążamy tą drogą, nie wolno przekroczyć punktu, w którym uzależnienie od dostaw jest większe niż przychód utracony przez partnera handlowego w chwili, gdy postano-

wi od takiej polityki odejść. Koncepcja *Wandel durch Handel* (zmiana przez wymianę handlową) okazała się ostatecznie zupełnie fałszywa, a odtrąbiony przez jej autorów sukces był zaledwie podstępem jednej strony, a naiwnością drugiej.

Dotychczasowa dynamika stosunków uległa wyczerpaniu. Trudno będzie w najbliższych dziesięcioleciach wyobrazić sobie zupełnie inną Rosję – odpowiadającą zachodniej wizji stosunków politycznych i gospodarczych na starym kontynencie oraz na całym świecie. NATO i Unia Europejska będą musiały więc wypracować nowe strategie, aby w optymalny sposób chronić interesy bezpieczeństwa państw członkowskich.

## Konsekwencje wojny

Rosyjska napaść na Ukrainę trwa i nikt nie wie, jakie będzie rozstrzygnięcie tego konfliktu. Możemy jednak wyciągnąć pewne wnioski w oparciu o wydarzenia z ostatnich dziewięciu miesięcy.

Po pierwsze, Moskwa nie zdołała osiągnąć celów potwierdzających jej pozycję w regionie i na świecie. Rosja nie tylko nie była w stanie podporządkować sobie Ukrainy, ale wyraźnie podkopała własne przywództwo w przestrzeni poradzieckiej. Zamiast stać się wiodącym graczem światowym, czego niewątpliwie pragnął Władimir Putin, Rosja została zdegradowana do drugo- lub nawet trzeciorzędnej roli. Wojna przyspieszyła proces podziału świata, w politycznym sensie, na dwie części, potwierdzając zarazem pozycję Chin jako centrum świata antyzachodniego.

Pojawiły się nawet dyskusje na temat potrzeby pozbawienia stałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, jeśli kraj członkowski dokonuje napaści na inne państwo. Nawet jeśli system sankcji okaże się niespójny i dziurawy, to wypracowanie go przez prezydenta Bidena w koordynacji z Unią Europejską i innymi państwami demokratycznymi na świecie okazało się udanym testem na to, jak społeczność międzynarodowa może skutecznie obejść taki jednostkowy problem. Warto odnotować, że Rosja nie mogła liczyć na żadne wsparcie w Organizacji Narodów Zjednoczonych, nie tylko dla samej operacji wojskowej, ale i związanych z nią działań, np. celowego ostrzału ukraińskiej sieci energetycznej u progu sezonu zimowego, wcześniejszej blokady eksportu zbóż, nielegalnych „referendów” w czterech ukraińskich obwodach oraz ukrytych – takich jak rozkaz prezydencki stawiający rosyjskie siły odstraszania nuklearnego w stan podwyższonej gotowości – i jawnych gróźb użycia taktycznej broni nuklearnej.

Szereg instytucji, m.in. Parlament Europejski i Zgromadzenie Parlamentarne NATO, wprost naznaczyły Rosję jako „państwo sponsorujące terroryzm” lub „państwo terrorystyczne”. Trudno wyobrazić sobie bardziej widowiskową utratę prestiżu przez wpływowy niegdyś kraj.

Po drugie, konsekwencje gospodarcze dla Rosji są i będą opłakane. Utraciła kraje Unii Europejskiej jako głównych nabywców ropy i gazu. Europa zdołała zabezpieczyć własne interesy w kryzysowej sytuacji i nieuchronnie przejdzie transformację ku zielonej energii z jeszcze większą determinacją i ostatecznym powodzeniem. Wiarygodność Gazpromu i rosyjskich spółek naftowych jest równa zeru. Jako dostawcom nierzetelnym, handlującym uwikłaną politycznie energią, będzie im niezmiernie trudno wybielić swój wizerunek. Rosji nie będzie łatwo zastąpić to źródło przychodu, kluczowe dla jej budżetu, eksportem do nabywców w Azji i w innych regionach, którzy nie są gotowi do tego, by zapłacić porównywalną cenę.

Jeśli sankcje utrzymają się na dłużej, rosyjska gospodarka utraci technologie oraz kapitał i na wiele lat pozostanie w XX wieku. Zwrot ku Chinom, co będzie jedynym wyjściem z tej sytuacji, jeszcze bardziej uzależni Rosję od rosnącego w siłę supermocarstwa.

Nie wspominając o tym, że koszty prowadzenia przeciągającej się wojny są niezwykle wysokie.

Po trzecie, rosyjska armia okazała się niewłaściwie wyszkolona, wyposażona i dowodzona. W chwili wybuchu wojny przywódcy polityczni i opinia publiczna na Zachodzie spodziewali się demonstracji siły, która zagrozić mogła również ich krajom. W konsekwencji kraje te pokazały gotowość zasadniczego zwielokrotnienia wydatków na obronę. Dziewięć miesięcy później jest jasne, że rosyjskim siłom zbrojnym daleko do współczesnych standardów prowadzenia wojny. Władimir Putin wytrącił z rąk swoich i swoich następców atut, który – nawet jeśli był tylko pozorny – traktowano śmiertelnie poważnie.

Wojna nie tylko zszargała renomę rosyjskiej armii, ale również wyczerpała jej możliwości materialne. Szacuje się, że wskutek sankcji odbudowa jej potencjału zajmie dziesięciolecie, a może nawet dłużej. Zachodnie środki zainwestowane w Ukrainę do czasu rozejmu, na który Kijów będzie gotów się zgodzić, odpowiadają oszczędnościom średnioterminowym w wydatkach na obronność. Istotne znaczenie ma oczywiście pytanie, czy wydatki na ten cel będą się równać dwu lub trzem procentom PKB (nieodpowiedzialnością byłoby utrzymywać je poniżej tego progu), czy będą musiały przekroczyć pięć procent.

Rosji nigdy nie wolno jednak lekceważyć. W historii najnowszej zdołała dwukrotnie podnieść się po porażkach militarnych, po raz pierwszy podczas wojny rosyjsko-japońskiej w 1904–1905 roku, a następnie po wojnie zimowej z Finlandią w 1939 roku. Zachód nie może popadać w zbyt dużą pewność siebie i z wygodnych pozycji hołdować przekonaniu o rosyjskiej słabości. Tak dziś wygląda sytuacja i najprawdopodobniej tak będzie wyglądać, gdy ustaną walki, musimy jednak podjąć działania, aby podtrzymać tę korzystną dychotomię. Warto dodać, że choć armia rosyjska być może nie jest tak silna, jak się spodziewano, ale nie jest jednak tak słaba, jak może nam się teraz wydawać. Wysiłki państw takich jak Polska, aby wzmocnić swój potencjał wojskowy, są zatem więcej niż uprawnione.

Trudno dziś przewidzieć, jaki wpływ będzie mieć wojna na sytuację wewnętrzną w Rosji. Setki tysięcy młodych, wysoko wykwalifikowanych Rosjan uciekły z kraju przed mobilizacją, ale zanim to nastąpiło, nie dało się zauważyć w rosyjskim społeczeństwie zbiorowego sprzeciwu wobec interwencji wojskowej. Logicznym następstwem mogą być pewne przetasowania polityczne na Kremlu, czy to wyłącznie oficjalne, czy też w sensie realnego oddziaływania na władzę, ponieważ interesy wielu wpływowych postaci ze świata polityki i biznesu znalazły się w niebezpieczeństwie. Ponieważ jednak scenariusz taki jest niepewny, a może nawet nieprawdopodobny, nie należy go przyjmować za fundament przyszłej polityki wobec Rosji.

W przeciwieństwie do Rosji, Ukraina zyskała szacunek, zaufanie i uznanie dla własnych interesów i aspiracji. Nieustępliwość prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, odwaga ukraińskich żołnierzy oraz wytrwałość ludności cywilnej, znoszącej trudy (a bywa, że i niewyobrażalne okropności wojny) we wspólnym wysiłku na rzecz obrony niepodległości kraju i demokracji, otworzyły nowe drogi do zapewnienia Ukrainie stabilnej przyszłości w ramach społeczności Zachodu. Dostawy nowoczesnego uzbrojenia, wsparcie w postaci danych wywiadowczych i przeszkolenia dla żołnierzy, a także pomoc humanitarną oraz ciepłe przyjęcie uchodźców należy postrzegać nie tylko jako dobre uczynki, ale również fundament bliskich stosunków po wojnie. To zaangażowanie ma wyraźny wymiar europejski i euroatlantycki, mimo że istotne decyzje podejmowano również w ramach G7 i formatu Ramstein.

## **Nowa architektura europejska**

Porządek, który najprawdopodobniej wyłoni się po zakończeniu wojny w Ukrainie, cechować będą rywalizacja i rezerwa, nie zaś empatia i chęć porozumienia.

Rosja pozostanie winna wielokrotnego pogwałcenia prawa międzynarodowego, zbrodni wojennych oraz napaści zbrojnej i imperializmu. W koncepcji strategicznej

z 2022 roku NATO opisuje ten kraj jako „najważniejsze i najbardziej bezpośrednie zagrożenie” dla pokoju i stabilności w obszarze euroatlantyckim. Unia Europejska i jej państwa członkowskie są dokładnie tego samego zdania. Sytuacja ta może ulec zmianie, jeśli w Rosji z całą mocą dojdzie do głosu demokratyczna i wolna od uprzedzeń opinia publiczna. Należy zatem założyć, że stosunki między Zachodem a Rosją utrzymywać się będą na niskim poziomie. Dominować będą raczej nieufność oraz polityka wzmocnienia odporności własnej i powstrzymywania ekspansji przeciwnika.

Sankcje przeciwko Rosji należy utrzymywać dopóty, dopóki ta nie zakończy interwencji wojskowej w Ukrainie, nie wycofa sił zbrojnych i nie pogodzi się z przywróceniem granic państwowych z 1991 roku (po rozpadzie ZSRR), a także dopóki w pełni ich nie uszanuje. Dotyczy to zwłaszcza granic zatwierdzonych przez memorandum budapeszteńskie w 1994 roku, tym samym oznacza to uznanie Krymu za terytorium Ukrainy. Pełna (a nawet stopniowa) normalizacja stosunków powinna również zależeć od zgody Rosji na wydanie osób oskarżonych o popełnienie zbrodni wojennych w Ukrainie, zgody na reparacje za zniszczenia i straty wśród ludności cywilnej, a także od decyzji o zaniechaniu prób bezpośredniej lub pośredniej ingerencji w procesy i procedury demokratyczne w innych państwach. Zachód mógłby również zażądać wspólnie wypracowanego zestawu działań na rzecz zaufania i bezpieczeństwa, które dałyby wgląd w potencjał militarny Rosji oraz jej intencje.

To byłaby znakomita okazja, aby na zawsze zapobiec zagrożeniu ze strony Rosji dla europejskiego pokoju i stabilizacji. Mogłoby to również położyć kres starym obawom Zachodu o bezpieczeństwo. W zaistniałych okolicznościach jest kluczowe, aby utrzymać szczegółowe restrykcje ograniczające dostęp rosyjskich spółek z branży zbrojeniowej, wydobywczej i innych sektorów wrażliwych do zachodniego kapitału i technologii, w tym technologii podwójnego zastosowania.

Mimo wszystko, państwa członkowskie UE i NATO będą musiały podnieść swoje zdolności obronne do poziomu wystarczającego do tego, by stworzyć przeciwwagę dla rosyjskiego potencjału militarnego – bez względu na to, jak jest obecnie i jak pozostanie przestarzały. Pokłosiem tej wojny będą wprawdzie zwiększone wydatki na obronność, jednak w następnych latach korzyści z nich z nawiązką wynagrodzą poniesione koszty.

Kraje zachodnie będą musiały przygotować się na to, aby pokryć wydatki na odbudowę Ukrainy tuż po zakończeniu działań zbrojnych. Szacuje się, że potrzeby Ukrainy przekroczyły 350 miliardów euro w czerwcu i 600 miliardów euro w listopadzie 2022 roku – a zniszczeń wojennych przybywa. Mimo że proces odbudowy z pewnością można osiągnąć dzięki wspólnym wysiłkom partnerów na całym świecie, przedsięwzięcie to będzie miało w oczywisty sposób wymiar europejski. Co więcej, w nieunikniony sposób pojawi się oczekiwanie, aby Niemcy, wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi, odegrały w tym procesie wiodącą rolę. Jedną w możliwości byłoby powołanie specjalnego funduszu unijnego wzorowanego na instrumencie *#NextGenerationEU*. Działania takie muszą również uwzględniać wiedzę ekspercką w zakresie kwestii, jak odbudować ukraińską gospodarkę, promując zarazem innowacje i dochowując najnowocześniejszych standardów.

Proces zbliżenia Ukrainy z Unią Europejską, zainicjowany w czasie, gdy walki osiągnęły kulminację, należy bezwzględnie kontynuować i najszybciej, jak tylko to możliwe, zwieńczyć przyjęciem Ukrainy do UE. Musi się to jednak odbyć bez uszczerbku dla spójności Wspólnoty i jej zdolności działania. W razie zamrożonego konfliktu (w przypadku braku szybkiego końca) można zastosować model cypryjski.

Pomocy Ukrainie w umacnianiu demokracji, praworządności i gospodarki rynkowej, która pozwoli jej funkcjonować w systemie europejskim, musi równolegle towarzyszyć istotna zmiana wewnętrzna samej Unii. Ukraina przeciera szlak innym krajom

zainteresowanym członkostwem w UE – państwom na Bałkanach Zachodnich, Mołdawii i Gruzji – których nie wolno pozostawić samym sobie. Organizacja zrzeszająca ponad 30 państw członkowskich musi mieć nowy *modus operandi* i postarać się o jeszcze bardziej zintegrowaną strukturę. Szkicując specjalny program pomocy nowym kandydatom, należy uwzględnić doświadczenia Partnerstwa Wschodniego.

Zmiany te są odpowiedzią na zagrożenie dla bezpieczeństwa, dlatego zdolność UE do działania w tym obszarze powinna stać się jedną z jej nowych cech charakterystycznych. W obliczu trwającego kryzysu, NATO okazało się partnerem wiarygodnym w dużej mierze dzięki zaangażowaniu prezydenta Joe Bidena. Europa jednak nie może dłużej stosować strategii uników – musi być gotowa do reakcji na możliwe zagrożenia. Te dwie organizacje muszą się oczywiście uzupełniać, nie zaś rywalizować ze sobą bądź się dublować.

Po zakończeniu wojny Ukraina powinna mieć prawo do członkostwa w NATO. Silna i zaprawiona w boju armia oraz położenie geograficzne sprawiają, że kraj ten będzie wartościowym członkiem sojuszu. W praktyce może się to stać nawet przed poszerzeniem UE.

W obliczu pogłębiającego się podziału w Europie między Zachodem (Unią Europejską, Europejskim Obszarem Gospodarczym, NATO, ich państwami członkowskimi oraz krajami o podobnych wartościach) a Rosją i Białorusią, pomoc może ożywić OBWE jako kanału komunikacji dla obu stron, mimo że od 1989 roku organizacja ta odgrywa niewielką rolę w zapobieganiu konfliktom i ich rozwiązywaniu.

## **Wspólna polityka to konieczność**

Wszystko, o czym tu mowa, wymaga ciągłego umacniania wspólnoty euroatlantyckiej. Jej zdolność do utrzymania jednego kursu i do podejmowania wspólnych decyzji właściwie bez zawahania (z wyjątkiem Węgier) zaskoczyła Władimira Putina i była równie decydująca dla powstrzymania Rosjan na polu bitwy, co determinacja Ukraińców.

Okazało się, że zastane procedury i mechanizmy w UE i NATO łatwo można dostosować do nowych wymagań (np. finansowanie zakupów sprzętu wojskowego przekazanego Ukrainie za pomocą instrumentu na rzecz pokoju w Europie). Jedność euroatlantycką udało się głównie jednak osiągnąć za sprawą praktyki doraźnego dialogu, odbywającego się również kanałami nieoficjalnymi, a do pewnego stopnia również dzięki naciskom moralnym wywieranym przez europejską opinię publiczną. Proces decyzyjny w takich sytuacjach należy teraz usprawnić i zinstytucjonalizować.

Trzeba jasno zdefiniować cele nowej polityki bezpieczeństwa. Jednym z nich powinna być zrównoważona architektura europejska, która wyłoni się po wojnie. To, innymi słowy, oznacza, że Rosja nie będzie w stanie siać zamętu i destabilizacji w nowym układzie stosunków. Powinno to zabezpieczyć interesy europejskie i pozwolić państwom członkowskim NATO i UE, a także państwom kandydującym i partnerskim, na szybki powrót na ścieżkę rozwoju i dbania o dobrostan.

Spójność jest do tego warunkiem koniecznym. Dialog na temat bezpieczeństwa UE powinny cechować stałość i solidna struktura. Unia powinna porzucić wymóg jednomyślności w kwestii wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa po to, aby przyspieszyć podejmowanie decyzji i uelastyczyć reagowanie na zmieniające się okoliczności. Wysoki przedstawiciel ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, dziś niemal zupełnie pozbawiony władzy na mocy traktatu, powinien nabyć realne kompetencje. Europejską Służbę Działań Zewnętrznych należy przekształcić w pełnoprawny korpus dyplomatyczny. Państwa członkowskie powinny wyrazić zgodę na rzeczywiste dzielenie się informacjami (z uwzględnieniem również danych wrażliwych), pozyskanymi przez ich agencje wywiadowcze i kontrwywiadowcze.



Pomysły te są odpowiedzią na to, czego życzyli sobie obywatele UE i co zostało wyrażone podczas Konferencji w sprawie Przyszłości Europy.

Unia powinna rozwinąć też zdolności wojskowe, na które składać się będą narodowe „ciężkie” batalionowe grupy bojowe, w pełnym stanie osobowym i w pełni wyposażone, stacjonujące na terytoriach narodowych i gotowe do natychmiastowego rozmieszczenia, działające w myśl takich samych procedur jak procedury NATO. Dwadzieścia takich jednostek mogłoby wystarczyć do odstraszania Rosji po wojnie<sup>2</sup>.

Taki zestaw działań wielu uzna z pewnością za trudny i wymagający. Potrzebny będzie wysiłek, aby przekonać sojuszników i państwa członkowskie. Mógłby on przyjąć kształt polsko-niemieckiej inicjatywy dwustronnej (dwaj partnerzy o skomplikowanych doświadczeniach w relacjach z Rosją i o odmiennych na te relacje spojrzeniach) bądź inicjatywy trójstronnej – za pośrednictwem Trójkąta Weimarskiego – którą można by podjąć wtedy, gdy wszyscy partnerzy będą gotowi do przyjęcia tej perspektywy.

Demokratyczny Zachód staje przed szczególną szansą. Możemy znów, podobnie jak w latach 1989–1991, rozświetlić mrok, który przez dziesięciolecia spowijał stojące przed nami możliwości i rozmywał nasze decyzje polityczne. Możemy też w praktyce zjednoczyć niemal cały kontynent. Niekiedy, choć nieczęsto, z ponurych uwarunkowań mogą wyłonić się świetlane rezultaty. Będzie ogromną stratą, jeśli nie wykorzystamy tej szansy. Potrzebujemy dziś przywódców z wizją i odwagą!

### Przypisy

<sup>1</sup> *The Disruption of Eastern Policy. Looking East from Warsaw and Berlin*, (red.) Joanna Andrychowicz-Skrzeba, Max Brändle, Wydanie polskiej wersji książki planowane jest na kwiecień br. Bonn 2023, s. 108.

<sup>2</sup> Szczegółowe propozycje na ten temat przedstawiono w dwóch sprawozdaniach – wnioskach z Konferencji Ekspertów zorganizowanej przez Włodzimierza Cimoszewicza: *Uwspólnotowanie polityki zagranicznej UE. Argumenty i postulaty, Warszawa 2021 oraz Przyszła uwspólnotowana polityka bezpieczeństwa i obrony UE*, Warszawa 2021.

Robert SMOLEŃ

# Krótki esej o pokoju, wojnie i specjalnej operacji

Pokój jest pięknym marzeniem intelektualistów. I w ogóle zdecydowanej większości cywilów, nawet jeśli na co dzień nie zaprzatają ich rozważania nad dychotomią zasztytą w tytule niniejszej rozprawki. Oczywiście ukrycie tego pragnienia w podświadomości nie dotyczy tych, którzy z wojennymi okropnościami mają akurat do czynienia, a także społeczeństw, które wciąż przekazują sobie międzygeneracyjną pamięć o cierpieniach i okrucieństwie. Z czasem to wspomnienie zanika. Dla mojego pokolenia wielka zawierucha, w której zginęło od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu milionów ludzi, w tym jedna szóstka rodaków, była już jakąś abstrakcją, mimo że rodziliśmy się ledwie dwadzieścia lat po jej zakończeniu. *Aida*, przerażający film Jasmili Žbanić z 2020 roku, świadczy o tym, że narody dawnej Jugosławii wciąż noszą ze sobą rozdzierającą traumę po wydarzeniach z pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Niepodsycana, i ona będzie nieuchronnie blaknąć, rozwiewać się, aż kiedyś stanie się tylko suchym zapisem na kartach podręczników do historii.

Ta względnie krótka pamięć jest, jak wiadomo, swoistym błogosławieństwem: pozwala ludzkości normalnie żyć i się rozwijać, koncentrować się na dbaniu o dobrostan i dobrobyt, tworzyć wynalazki, pisać wiersze jak spod piór Leśmiana i Szymborskiej, a nie tylko Gajcego i Baczyńskiego. Co prawda przy okazji prawdziwe obrazy z przeszłości ulegają pewnemu odkształceniu. Wielu Polaków na przykład, jak mi się wydaje, za wydumane lub naiwne uznaje stwierdzenie, iż Wspólnoty Europejskie powstały dla zapobieżenia wybuchowi kolejnej wojny na kontynencie, który wcześniej miał ją wpisana w naturę relacji między ludami, narodami i państwami. Unię traktują utylitarnie pod względami ekonomicznymi, cywilizacyjnymi i kulturowymi, ale nie w kontekście bezpieczeństwa.

Również żołnierze i ich dowódcy wybierają swą służbę nie po to, by zabijać, lecz by bronić, odstraszać i – generalnie – służyć dobrym sprawom. Ktoś jednak te wojny wywołuje... Ponoć w całej historii powszechnej doszukano się tylko trzystu lat całkowitego pokoju, zaś po roku 1945 takie okresy liczy się w dniach (nie wiem, czy ktoś na bieżąco prowadzi tę statystykę, ale pięć lat temu przeczytałem, że takich dni było raptem 26).

Trudno mi sobie wyobrazić moralny ciężar spoczywający na barkach kogoś, kto podejmuje decyzję o zbrojnej napaści. Ma przecież – jest przywódcą, zna przeszłość, wysłuchał opinii doradców – świadomość tego, co zaraz, niechybnie, nastąpi. Ale już trzeba mieć całkowicie zaburzoną zdolność definiowania dobra i zła, być skrajnym cynikiem (jeśli nie degeneratem lub psychopatą), aby wydać rozkaz dokonania niczym niesprowokowanej agresji, posyłać słabo wyszkolonych rekrutów wprost pod grad kul, skazywać Bogu ducha winnych mieszkańców sąsiedniego kraju na ryzyko śmierci z głodu i wychłodzenia, masowo porywać małe dzieci; albo by oddawać salwy na ulicy do nieuzbrojonych rowerzystów, hurtem gwałcić kobiety i ich córki, wiązać drutem ręce mężczyzn, a potem zabijać ich strzałem w potylicę.

Kiedyś zdjęcia i filmy z Buczy, Irpienia, Mariupola stracą wyrazistość także dla Ukraińców. Dźwięk syren przestanie wywoływać paniczny lęk. Zapomni się o życiu w ciemności, w piwnicach, bez światła i wody, o gotowaniu byle jakich posiłków na ruszcie nad rozpalonym z byle czego ogniem. Kiedyś, ale nieprędkiem. Byli naoczni świadkami zbyt strasznych rzeczy i nawet jeśli bardzo by chcieli o nich zapomnieć, długo będą to wszystko przechowywać w zakamarkach kory mózgowej oraz przekazywać, świadomie i nieświadomie, potomnym. Wraz z nienawiścią do tych, którzy im to wszystko zgotowali.

\* \* \*

Sądzę, że te emocje wyrażał profesor Bogdan Galwas w zamieszczonych w poprzednim numerze *Res Humana Uwagach o trudnej drodze do pokoju w Europie*.

Wzywa w nich do „przemyslenia i pójścia drogą prowadzącą do utrwalonego porozumienia pokoju”. „Za pokój warto zapłacić nawet dużą cenę” – twierdzi. Ubolewa, że „ogromna pomoc wojskowa wysyłana Ukrainie przez kraje NATO nie pomogła walczącym, wykrwawiającym się wzajemnie stronom w przerwaniu wojny. Cynicy mówią” – dodaje – „że ta pomoc podtrzymuje wojnę, która osłabia Rosję. To prawda, podtrzymuje i osłabia”. Zaznacza, iż potępia „każdą wojnę”, uważa, że „obowiązkiem wszystkich jest powstrzymanie walczących stron i pomoc w osiągnięciu pokojowego, akceptowalnego przez nie rozwiązania”. Proponuje zawarcie, po 77 latach od zakończenia II wojny światowej, traktatu pokojowego dla Europy, opartego o prawo narodów do samostanowienia. W takiej „strefie pokoju od Atlantyku po Ural” dwa największe słowiańskie państwa miałyby stać się dobrymi, współpracującymi ze sobą sąsiadami. Nasza część świata powinna być kontynentem pokoju, współpracy i wzajemnego zaufania.

Podobnie zareagowali (już po pokonaniu III Rzeszy) ówczesni luminarze nauki i kultury na serię agresywnych napaści Hitlera na sąsiadów, zbrodniczą okupację za-

jętych terenów, ludobójstwo (wtedy to Rafał Lemkin wymyślił i wprowadził do obrotu ten termin) i Holocaust. Zorganizowali wrocławski Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. W Hadze debatowali europejscy federaliści. Józef Rotblat i inni uczeni, w tym uczestniczący w badaniach prowadzących do stworzenia bomby atomowej, powołał Ruch Pugwash. Wcześniej, jeszcze w latach czterdziestych, Altiero Spinelli na bibułkach do skrętów napisał i przemycił swój *Manifest* z Ventotene, na której to wyspie internowali go faszysty. To był pierwszy zarys idei zintegrowania Europy w celu zdławienia nacjonalizmów i niedopuszczenia do powtórki wojennego katalizmu.

W czasie Wielkiej Wojny, pod wpływem bitw pod Verdun i nad Sommą, stu tysięcy ofiar iperytu i fosgenu, poeta Tristan Tzara, pisarz Hugo Ball, rzeźbiarz Hans Arp i inni twórcy spod znaku *Cabaret Voltaire* zainicjowali dadaizm jako nurt piętnujący bezsens społeczeństw dopuszczających te okropieństwa. Atmosferę tamtych lat udanie odtworzył Szczepan Twardoch w powieści o Aloisie Pokorze. Ponieważ nowa ekranizacja *Na Zachodzie bez zmian* została obsypana nagrodami BAFTA i Europejskiej Akademii Filmowej oraz tegorocznymi Oscarami, wciąż bez nadmiernie skomplikowanych zabiegów możemy sobie zwizualizować przesłanie Ericha Marii Remarque'a. Trudno przy tym uniknąć skojarzeń z bitwą o Bachmut.

\* \* \*

Wzmianka o Bachmucie musi nas sprowadzić na ziemię.

Co bowiem zrobić, jeśli wojnę wywołuje państwo o agresywnych zamiarach, dążące do odtworzenia swej niegdysiejszej imperialnej wielkości, świadomie łamiące wszelkie zasady organizacji stosunków międzynarodowych, jakie udało nam się ustalić w ciągu wielu ostatnich dekad? Uznać, że prawo ma obowiązywać tylko wtedy, gdy odpowiada to wybranemu członkowi globalnej społeczności – takiemu, który rości sobie przywilej samodzielnego decydowania o tym, które normy i w którym momencie można unieważniać lub zawieszać? Pogodzić się z tym, że ów agresor, odbudowując swą hegemonię, będzie nieuchronnie zagrażał kolejnym sąsiadom, którym udało się spod niej wyrwać? Niczym nie różniłoby się to od niesławnej polityki *appeasementu*.

Precyzyjnie dobieram tu słowa. Mówię o państwie, a nie tylko jego przywódcy. Władimir Putin jest osobiście odpowiedzialny za dokonanie agresji, ale nikt z kręgów władzy go nie powstrzymał. Prawie nikt z obywateli Federacji, jakkolwiek słaby to status, nie protestował. Kilkaset tysięcy Rosjan podlegających mobilizacji, zazwyczaj młodych, dobrze wykształconych, wykonujących sowicie opłacane prace, uciekło za granicę przed powołaniem – ale uczynili to wyłącznie we własnym interesie. Gdy wojsko, autoreklamujące się jako druga armia świata, skompromitowało się na polu walki, gdy okazało się, że blitzkriegu nie będzie, a „specjalna operacja wojskowa” potrwa miesiące – nikt nie zaproponował przeciw atakom na bezbronną ludność cywilną i infrastrukturę krytyczną. Prości żołnierze (pod okiem zwierzchników) tam na miejscu, w okupowanych miejscowościach, dokonywali rzeczy haniebnych i obraźliwych. To nie jest opowieść o złym carze i szlachetnym narodzie. Ostatnie 365 dni nie tylko udowodniło, że mamy do czynienia z bezwzględny, kierującym się nihilizmem, wodzem; także rozwiało mit o przyjaznym, życzliwym i otwartym społeczeństwie, które wiele wniosło do skarbnicy kulturowego dziedzictwa ludzkości. Przyszłoby Rosjanom podoba się imperialna spuścizna, pielęgnując w sobie wspomnienie mocarstwowości, które jest rdzeniem ich tożsamości.

Skoro tak, to nie można liczyć, że po odsunięciu lub ustąpieniu Putina wszystko zmieni się jak po machnięciu czarodziejską różdżką. Wątpliwe, by dokonana się przemiana, analogiczna do denazyfikacji umysłów powojennych Niemców. By Rosjanie wytworzyli w sobie kompleks winy, chcieli realnie pojednać się ze swymi ofiarami. Nie mówiąc już

o tym, że w miejsce obecnego prezydenta nastałby prawdziwy demokratą i Europejczyk. Takie procesy musiałyby trwać wiele dekad.

\* \* \*

Putin ma złe zamiary: generalnie chciałby w całości zająć Ukrainę, włączyć jej terytorium w obręb marzącego mu się zmartwychwstałego cesarstwa. Co prawda wie już, że brak mu na to sił; więc dąży do doprowadzenia zaatakowanego państwa do upadku, wyrwania go z „objęć Zachodu” – odciągnięcia jego mieszkańców od wiary w zasady demokratycznego ustroju i poszanowania praw człowieka. Tym samym zatrzymałby ich marsz ku członkostwu w Unii Europejskiej i NATO (który to marsz notabene agresją sprzed roku znacznie przyspieszył).

Ukraińcy chcą wyprzeć siły rosyjskie i odzyskać kontrolę nad wszystkimi utraconymi terytoriami – w granicach z 1991 roku (jakkolwiek paradoksalnie brzmi to dzisiaj, Rosja jest jednym z gwarantów tych granic). Taka jest wola całego narodu, twarda i ugruntowana. Podpowiada to intuicja, potwierdzają sondaże. Niemal wszyscy są gotowi bronić ojczyzny za wszelką cenę. Mają do tego prawo. Wołodmyr Zełenski, nawet gdyby chciał zatrzymać się w pół kroku, pewnie nie byłby w stanie przekonać rodaków do zmiany oczekiwań.

Zmuszenie go do zaakceptowania innego rozstrzygnięcia, technicznie łatwe, byłoby zdradą wartości wolnego świata. Przez lata trawiliśmy rozczarowanie, że ktoś nie chciał umierać za Gdańsk. Czy chcielibyśmy teraz znaleźć się po drugiej stronie?

Na nasze szczęście nie musimy stawać z karabinem u nogi. Potomkowie Rusinów i kozaków dzielnie, nad wyraz skutecznie dają sobie radę. Dostarczane im w tym celu coraz bardziej zaawansowane uzbrojenie, amunicja, części zamienne, informacje wywiadowcze, pomoc w szkoleniu żołnierzy kosztują, jednak ich cena jest nieporównywalna z przenośną ceną krwi przelanej na froncie.

Raz już Ukraińców zdradziliśmy – namawiając ich do podpisania niekorzystnych dla nich porozumień mińskich. Nic to nie dało. Uzgodnienia pozostały na papierze, nigdy niewykonane. Przez kolejne siedem lat dochodziło, z różną intensywnością, do starć w Donbasie. To, co wydawało się ścieżką wiodącą do pokoju, nawet jeśli wąską i krętą, w końcu okazało się ślepym zaułkiem.

Zachód nie może sobie pozwolić na uznanie żądań Putina, by przyznać mu specjalne prawa i przywileje w stosunkach europejskich. Także ze względów praktycznych. Wyhodowalibyśmy śmiertelne zagrożenie dla spokoju, rozwoju i dobrobytu. Jeśli pozwolimy teraz na odgryzienie palca, bądźmy pewni, że za jakiś czas – może osiem lat (jak po roku 2014), może szesnaście i pół (tyle upłynęło od rozpadu ZSRR do wojny w Gruzji) – zagrożona stanie się cała ręka. Dajmy Moskwie część Donbasu zajętej w latach 2014–2015 przez secesjonistów oraz Krym, zażąda lądowego korytarza do półwyspu. Zgódźmy się na to, zacznie domagać się Odessy. Oddajmy i ją, wysunie roszczenie dotyczące Naddniestrza. Albo stanie „w obronie” Rosjan na Łotwie i w Estonii. Chociaż państwa NATO, zwłaszcza po doświadczeniach znad Dniepru, nie zaatakują.

Niechętnie przywołuję nadmiernie często cytowane słowa, ale słynna fraza Churchilla wygłoszona po zawarciu układu monachijskiego pasuje tutaj jak ulał. Gdybyśmy pod wpływem zmęczenia, zniechęcenia, znudzenia lub poczucia braku perspektywy zwycięstwa (bo dziś już nie pod wpływem strachu) zgodzili się na ustępstwa na szkodę Ukrainy, wybralibyśmy hańbę, ale i tak musielibyśmy liczyć się z ryzykiem wojny. Dotyczyłoby to zarówno uznania inkorporacji którychś z zajętych przez Rosję terenów, jak i zahibernowania konfliktu, co *de facto* utrwaliłoby zdobycze terytorialne. Nawet szlachetne – wydawałoby się – zawieszenie broni pozwoliłoby tylko najeźdźcy na przegrupowanie sił i zwiększenie jego potencjału, po czym wojna wybuchłaby na nowo ze zwielokrotnioną energią.

Właśnie dlatego, że interesy głównych stron są wzajemnie całkowicie sprzeczne i nie da się pogodzić, nie sposób naszkicować kształt rozwiązania, które szybko zakończyłyby działania zbrojne i na trwałe zaprowadziły ład w Europie. Rozmową i argumentacją nie da się zmusić Putina do zawarcia pokoju na warunkach, które zostałyby przyjęte przez Wołodymyra Zełenskigo i większość Ukraińców.

Agresywna polityka musi być zduszona do samego końca. Właśnie teraz, gdy jej eksponent jest znacząco osłabiony.

Nie chodzi, rzecz jasna, o naszą paradę zwycięstwa na Placu Czerwonym. To się nie stanie. Jednak wsparcie dla bliskiego nam partnera, który stał się obiektem ataku – wyrażane w pieniądzech, broni i wszystkim innym, co niezbędne – musi być niezachwiane i nieustające. Do czasu porzucenia imperialnych ambicji, także gdy umilkną już strzały, wobec Kremla powinny zostać utrzymane rygorystyczne sankcje uniemożliwiające mu odtworzenie potencjału militarnego. Bez zachodnich technologii i kapitału zajmie to długie dziesięciolecia, nawet przy jakimś wsparciu Chin. Od demokratycznego świata wymagałoby to wytrwałości i solidarności. Ale obyłoby się bez ogromnych wyrzeczeń: zielona gospodarka może się rozwijać bez Rosji. Ten scenariusz wymagałby trochę (zdecydowanie nie w tak wielkim stopniu, jak proponuje obóz obecnie rządzący Polską) zwiększonych wydatków państw europejskich na obronę i bezpieczeństwo. Jednak szybko przywykliłoby się do nowych warunków i znów zaczęli zwiększać strumienie pieniędzy na rozwój gospodarczy i jakość usług publicznych. Zachowalibyśmy nasz europejski model społeczny. Alternatywą jest życie w stałym lęku, co *summa summarum* będzie o wiele bardziej kosztowne.

Nie można dopuścić do relatywizowania norm prawa międzynarodowego. Żadne państwo, nawet wielkie, nawet dysponujące potężnym arsenałem jądrowym, nie może zyskać zezwolenia na zabieranie kawałka terytorium sąsiada, a tym bardziej na najeżdżanie nań pancernymi zagonami. Inaczej nasz świat zachwiałby się w posadach. Wojnę wykluczaliśmy z katalogu dopuszczalnych zachowań w 1945 roku, w Karcie Narodów Zjednoczonych (w tym sensie powiedzenie von Clausewitza, iż jest ona „kontynuacją polityki innymi środkami” stała się nieaktualna). Organizacja stojąca na straży tego postanowienia nie sprawdziła się, nie po raz pierwszy zresztą, bo Rosja ma w niej prawo weta. Skuteczny za to okazał się system sankcyjny zorganizowany *ad hoc* przez Stany Zjednoczone, Unię Europejską, Grupę G7 i inne państwa podobnie myślące. Nie jesteśmy więc bezbronni.

Nie powinniśmy też zapominać, że ten konflikt ma podłoże w postaci zderzenia dwóch różnych systemów wartości. Świat współczesny, otwarty, tolerancyjny *versus* tradycjonalizm. Zaufanie kontra nieufność. Oświecenie, humanizm i racjonalizm przeciwko manifestacyjnej, nieszczerzej religijności. Poszanowanie procedur i prymat prawa, a z drugiej strony – nadrzędne znaczenie woli człowieka u władzy. Demokracja i autorytaryzm. Wolność i dyktatura. Tę linię podziału dwukrotnie i sugestywnie nakreślił Joe Biden w swych warszawskich przemówieniach, w marcu 2022 i w lutym 2023 roku.

Sam ten fakt nie musi prowadzić do wystrzałów. Naszym zdaniem – nie powinien, nie może. Nie mamy natury krzyżowców. Wierzmy w słuszność i siłę naszych racji, zobrażowane zadowoleniem społeczeństw, życzliwością państwa do jego obywateli, sprawną gospodarką i stale rosnącym materialnym komfortem życia. Niczego nie chcemy wypalać ogniem i wycinać mieczem.

My – nie. Ale druga strona – najwyraźniej tak. Demokracje nie mogą stanąć bezradne wobec zagrożenia tego rodzaju, bo ma ono wymiar egzystencjalny. Ukraina, choć niekiedy z problemami, ze zwrotami akcji, od lat wytrwale podąża drogą osadzoną w naszej kulturze politycznej i cywilizacji prawnej. I także dlatego nie możemy jej zawieść.

## DOKUMENTY

# PRZEMÓWIENIE PREZYDENTA USA JOE BIDENA

Warszawa, 21 lutego 2023 roku

*Poniżej publikujemy pełny tekst przemówienia wygłoszonego przez Joe Bidena w warszawskich Arkadach Kubickiego podczas jego drugiego w ciągu dwunastu miesięcy przyjazdu do Polski.*

*Oczekiwana u nas z pewną dozą ekscytacji wizyta faktycznie okazała się częścią podróży do Kijowa. To w stosunku do tej ostatniej adekwatne jest użycie przymiotnika „historyczna”. Po raz pierwszy głowa amerykańskiego państwa znalazła się w obszarze działań wojennych, w rejonie niekontrolowanym przez lotnictwo i armię Stanów Zjednoczonych. Dla walczących Ukraińców ten akt odwagi z pewnością był mocnym zastrzykiem optymizmu, nadziei i wiary w zwycięstwo. A ponieważ wiemy już, jak wielkie jest znaczenie morale żołnierzy na froncie – miał znaczenie praktyczne.*

*W Polsce odbyła się dyskusja, czy wystąpienie prezydenta Bidena było „historyczne”, czy też – jak na stronie ocenił to Jarosław Kaczyński – mówca „nic nie powiedział”. Redakcji „Res Humana” najbliższa jest opinia wyrażona przez Aleksandra Kwaśniewskiego: nie było to przemówienie historyczne, ale było ważne. Krótsze i mniej elektryzujące od tego sprzed roku, choć też precyzyjnie napisane i wygłoszone z emocją. Powtórzone słowa o jedności wspólnoty euroatlantyckiej, świętym zobowiązaniu do obrony każdego cala terytorium NATO, bezwzględnym trwaniu przy zaatakowanej Ukrainie, tym razem brzmiały nie jak zapowiedź, lecz – twardo – jak opis stanu spraw.*

*A poza tym jest to po prostu piękny tekst.*

*Redakcja „Res Humana”*

Witaj, Polsko! Witam jednego z naszych wielkich sojuszników. Dziękuję za ponowne przyjęcie mnie w Polsce.

Prawie rok temu przemawiałem na Zamku Królewskim tutaj w Warszawie zaledwie kilka tygodni po tym, jak Władimir Putin rozpętał swój morderczy atak na Ukrainę. Rozpoczęła się największa wojna lądowa w Europie od czasów II wojny światowej. A zasady, które były kamieniem węgielnym pokoju, dobrobytu i stabilności na tej planecie przez ponad 75 lat, stały się zagrożone zniszczeniem.

Rok temu świat przygotowywał się do upadku Kijowa. Cóż, właśnie wróciłem z wizyty w Kijowie i mogę powiedzieć: Kijów stoi silny! Kijów jest dumny. I co najważniejsze – jest wolny.

Kiedy Rosja dokonała inwazji, nie tylko Ukraina została poddana próbie. Cały świat stanął w obliczu próby. Europa została poddana próbie. Ameryka została poddana próbie. NATO zostało poddane próbie. Wszystkie demokracje zostały poddane próbie. A pytania, przed którymi stanęliśmy, były równie proste, jak głębokie.

Czy odpowiemy, czy też będziemy patrzeć w inną stronę? Czy będziemy silni, czy słabi? Czy będziemy – my – wszyscy nasi sojusznicy – zjednoczeni czy podzieleni?

Rok później znamy odpowiedź.

Odpowiedzieliśmy. Będziemy silni. Będziemy zjednoczeni. A świat nie patrzy w inną stronę.

Staliśmy też przed fundamentalnymi pytaniami o przywiązanie do najbardziej podstawowych zasad. Czy staniemy w obronie suwerenności narodów? Czy opowiemy się za prawem ludzi do życia wolnego od agresji? Czy opowiemy się za demokracją?

Rok później znamy już odpowiedzi.

Tak, staliśmy w obronie suwerenności. Tak, staliśmy w obronie prawa ludzi do życia wolnego od agresji. I staliśmy w obronie demokracji. Tak się stało.

Wczoraj miałem zaszczyt stanąć z prezydentem Zełenskim w Kijowie, aby zadeklarować, że będziemy nadal bronić tych samych spraw bez względu na wszystko. Kiedy prezydent Putin kazał swoim czołgom wjechać na Ukrainę, myślał, że się cofniemy. Mylił się. Naród ukraiński był zbyt odważny. Ameryka, Europa, koalicja narodów od Atlantyku po Pacyfik – byliśmy zbyt zjednoczeni. Demokracja była zbyt silna.

Zamiast łatwego zwycięstwa, które przewidywał, Putin wyjechał z wypalonymi czołgami i siłami Rosji w rozsypce. Myślał, że dostanie finlandyzację NATO. Zamiast tego dostał natoizację Finlandii – i Szwecji. Myślał, że NATO będzie pękać i dzielić się. Zamiast tego, NATO jest bardziej zjednoczone niż kiedykolwiek wcześniej. Myślał, że może zastosować energię jako broń, by złamać waszą determinację – determinację Europy. Zamiast tego pracujemy razem, aby zakończyć zależność Europy od rosyjskich paliw kopalnych. Myślał, że autokraci tacy jak on są twardzi, a przywódcy demokracji miękczy. A potem spotkał się z żelazną wolą Ameryki i innych narodów, które nie chciały zaakceptować świata rządzonego przez strach i siłę. Znalazł się w stanie wojny z narodem kierowanym przez człowieka, którego odwaga byłaby wykuta w ogniu i stali: prezydenta Zełenskiego.

Prezydent Putin stoi dziś w obliczu czegoś, co jeszcze rok temu nie wydawało mu się możliwe. Demokracje świata stały się silniejsze, a nie słabsze. Autokraci zaś osłabli się, a nie wzmocnili.

Bo w chwilach wielkich wstrząsów i niepewności najważniejsza jest wiedza o tym, za czym się opowiadasz, a wiedza o tym, kto stoi z tobą, robi różnicę. Naród polski to wie. Wiecie to lepiej niż ktokolwiek. Bo to właśnie oznacza solidarność. Poprzez zabory i ucisk, kiedy to piękne miasto zostało zniszczone podczas Powstania Warszawskiego, podczas dziesięcioleci pod żelazną pięścią komunistycznej władzy, Polska przetrwała, ponieważ staliście razem.

Tak właśnie dzielni przywódcy opozycji i naród białoruski kontynuują walkę o swoją demokrację. Tak właśnie determinacja obywateli Mołdawii, by żyć w wolności, przyniosła im niepodległość i wprowadziła na drogę do członkostwa w UE. Prezydent Sandu jest tu dzisiaj. Nie jestem pewien, gdzie ona jest. Ale jestem dumny, że stoję z Panią i miłującym wolność narodem Mołdawii. Proszę o oklaski dla niej.

Rok po rozpoczęciu wojny Putin nie wątpi już w siłę naszej koalicji. Ale nadal wątpi w nasze przekonania. Wątpi w naszą siłę przetrwania. Wątpi w nasze stałe wsparcie dla Ukrainy. Wątpi, czy NATO może pozostać zjednoczone.

Ale nie powinno być żadnych wątpiwości: nasze wsparcie dla Ukrainy nie zachwieje się, NATO nie będzie podzielone, a my nie staniemy się zmęczeni. Nieudolna żądza ziemi i władzy prezydenta Putina nie zostanie spełniona. A miłość narodu ukraińskiego do swojego kraju zwycięży!

Demokracje świata będą stały na straży wolności dziś, jutro i na zawsze. Bo to jest to – to jest to, o co tu chodzi: wolność.

Takie przesłanie wiozłem wczoraj do Kijowa, bezpośrednio do mieszkańców Ukrainy. Kiedy prezydent Zełenski przyjechał do Stanów Zjednoczonych w grudniu, powiedział, że

ta walka zdefiniuje świat i to, jak będą żyć nasze dzieci i wnuki, a potem ich dzieci i wnuki. Nie mówił tylko o dzieciach i wnukach Ukrainy. Mówił o wszystkich naszych dzieciach i wnukach. Waszych i moich.

Widzimy dziś znowu to, co widzieli przez dziesiątki lat mieszkańcy Polski i mieszkańcy całej Europy: apetytów autokraty nie można zaspokoić. Trzeba się im przeciwstawić. Autokraci rozumieją tylko jedno słowo: „Nie”. „Nie”. „Nie”. „Nie, nie zabierzecie mojego kraju”. „Nie, nie weźmiesz mojej wolności”. „Nie, nie zabierzecie mojej przyszłości”.

Powtórzę dziś to, co powiedziałem w zeszłym roku w tym samym miejscu: dyktator pragnący odbudować imperium nigdy nie będzie w stanie wymazać umiłowania wolności przez ludzi. Brutalność nigdy nie zmieli woli ludzi wolnych. A Ukraina – Ukraina nigdy nie będzie zwycięstwem Rosji. Nigdy!

Bo wolni ludzie odmawiają życia w świecie beznadziei i ciemności.

Wiecie, to był niezwykle rok pod każdym względem.

Nadzwyczajna brutalność ze strony rosyjskich sił i najemników. Popelnili oni zbrodnie przeciwko ludzkości bez wstydu i skrpułów. Wymierzali w cywilów śmierć i zniszczenie. Używali gwałtu jako broni wojennej. Kradli ukraińskie dzieci, próbując w ten sposób ukraść przyszłość Ukrainy. Bombardowali dworce kolejowe, szpitale położnicze, szkoły i sierocińce.

Nikt – nikt nie może odwrócić oczu od okrucieństw, jakich Rosja dopuszcza się wobec narodu ukraińskiego. To jest odrażające.

Ale niezwykle jest też reakcja narodu ukraińskiego i świata. Rok po tym, jak zaczęły spadać bomby i rosyjskie czołgi wjechały na Ukrainę, Ukraina nadal jest niepodległa i wolna. Od Chersonia po Charków ukraińscy bojownicy odzyskali swoją ziemię. Na ponad pięćdziesięciu procentach terytorium, które w zeszłym roku zajęła Rosja, znów dumnie powiewa niebiesko-żółta flaga Ukrainy.

Prezydent Zelenski nadal stoi na czele demokratycznie wybranego rządu, który reprezentuje wolę narodu ukraińskiego. A świat już wielokrotnie głosował, w tym w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, aby potępić agresję Rosji i poprzeć sprawiedliwy pokój. Za każdym razem w ONZ głosy te były przytłaczające. W październiku 143 narody w ONZ potępiły nielegalną aneksję Rosji. Tylko cztery – cztery w całej ONZ – głosowały z Rosją. Cztery!

Tak więc dziś wieczorem raz jeszcze zwracam się do narodu rosyjskiego. Stany Zjednoczone i narody Europy nie dążą do kontrolowania czy zniszczenia Rosji. Zachód nie spiskuje, aby zaatakować Rosję, jak powiedział dziś Putin. A miliony rosyjskich obywateli, którzy chcą jedynie żyć w pokoju ze swoimi sąsiadami, nie są wrogiem. Ta wojna nigdy nie była koniecznością; to tragedia.

Prezydent Putin wybrał tę wojnę. Każdy dzień, w którym wojna trwa, to jego wybór. Mógłby zakończyć wojnę jednym słowem. To proste. Gdyby Rosja przestała najeżdżać Ukrainę, zakończyłaby wojnę. Gdyby Ukraina przestała się bronić przed Rosją, byłby to koniec Ukrainy.

Dlatego wspólnie dbamy o to, by Ukraina mogła się bronić. Stany Zjednoczone zebrały światową koalicję ponad 50 państw, aby dostarczyć dzielnym ukraińskim bojownikom na linii frontu kluczową broń i zaopatrzenie. Systemy obrony powietrznej, artyleria, amunicja, czołgi i pojazdy opancerzone. Unia Europejska i jej państwa członkowskie podjęły bezprecedensowe zaangażowanie w pomoc Ukrainie, nie tylko w zakresie bezpieczeństwa, ale także pomocy gospodarczej, humanitarnej, pomocy dla uchodźców i wielu innych.

Do wszystkich tu obecnych: poświęćcie chwilę. I mówię poważnie, kiedy to mówię: spójrzcie na siebie nawzajem. Spójrzcie na to, co zrobiliście do tej pory. Polska przyjmuje



ponad 1,5 miliona uchodźców z tej wojny. Niech Bóg was błogosławi. Polska hojność, wasza gotowość do otwarcia serc i domów jest niezwykła.

A naród amerykański również jest zjednoczony w naszej determinacji. W całym moim kraju, w dużych miastach i małych miasteczkach, z amerykańskich domów powiewają ukraińskie flagi. W ciągu ostatniego roku Demokraci i Republikanie w Kongresie Stanów Zjednoczonych zjednoczyli się, aby stanąć w obronie wolności. Oto kim są Amerykanie i co robią Amerykanie.

Świat jednoczy się również, aby zająć się globalnym skutkiem wojny prezydenta Putina.

Putin próbował zagłodzić świat, blokując porty na Morzu Czarnym, aby powstrzymać Ukrainę przed eksportem zboża, co zaostrzyło światowy kryzys żywnościowy, który szczególnie mocno uderzył w rozwijające się kraje Afryki. Zamiast tego Stany Zjednoczone i G7 oraz partnerzy z całego świata odpowiedzieli na wezwanie, podejmując historyczne zobowiązania do rozwiązania kryzysu i zwiększenia światowych dostaw żywności. W tym tygodniu moja żona Jill Biden, udaje się do Afryki, aby zwrócić uwagę na ten krytyczny problem.

Nasze zaangażowanie dotyczy narodu ukraińskiego i przyszłości Ukrainy – Ukrainy wolnej, suwerennej i demokratycznej. To było marzenie tych, którzy ogłosili niepodległość Ukrainy ponad 30 lat temu, którzy prowadzili Pomarańczową Rewolucję i Rewolucję Godności, którzy stawili czoła lodowatemu i ognistemu czasowi Majdanu, marzenie i Niebiańskiej Sotni, która tam zginęła; i tych, którzy nadal kontynuują wykorzenianie działań Kremla w celu korumpowania, wymuszenia i kontrolowania Ukrainy.

To marzenie tych ukraińskich patriotów, którzy przez lata walczyli z agresją Rosji w Donbasie i bohaterów, którzy oddali wszystko, oddali swoje życie, w służbie ukochanej Ukrainy. Miałem zaszczyt odwiedzić wczoraj ich pomnik w Kijowie, aby oddać hołd ofierze tych, którzy stracili życie, stojąc u boku prezydenta Zełenskigo.

Stany Zjednoczone i nasi partnerzy są z ukraińskimi nauczycielami, personelem szpitali, ratownikami medycznymi, pracownikami miast w całej Ukrainie, którzy walczą o utrzymanie prądu w obliczu okrutnego bombardowania przez Rosję.

Jesteśmy z milionami uchodźców z tej wojny, którzy znaleźli gościnę w Europie i Stanach Zjednoczonych, szczególnie tu w Polsce. Zwykli ludzie w całej Europie zrobili wszystko, co mogli, aby pomóc i nadal to robią. Polskie przedsiębiorstwa, społeczeństwo obywatelskie, liderzy kultury – w tym polska Pierwsza Dama, która jest tu dziś wieczorem – przewodzą z sercem i determinacją, pokazując wszystko, co dobre w ludzkim duchu. Pani Pierwsza Damo, kochamy Panią. Dziękujemy wszystkim.

Nigdy nie zapomnę, jak w zeszłym roku odwiedziłem uchodźców z Ukrainy, którzy właśnie przybyli do Warszawy, widząc ich zmęczone i przestraszone twarze – trzymających tak blisko swoje dzieci, martwiących się, że mogą już nigdy nie zobaczyć swoich ojców, mężów, braci czy siostr.

W tym najczarniejszym momencie ich życia, Wy, Polacy, zaferowaliście im bezpieczeństwo i światło. Objęliście ich. Dosłownie objęliście ich. Patrzyłem. Patrzyłem na ich twarze.

Tymczasem wspólnie dopilnowaliśmy, by Rosja zapłaciła cenę za swoje nadużycia. Nadal utrzymujemy największy reżim sankcji, jaki kiedykolwiek nałożono na jakikolwiek kraj w historii. A w tym tygodniu wspólnie z naszymi partnerami ogłosimy kolejne sankcje. Pociągniemy do odpowiedzialności tych, którzy są odpowiedzialni za tę wojnę. I będziemy szukać sprawiedliwości za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości, które nadal są popełniane przez Rosjan.

Wiecie, mamy wiele powodów do dumy z tego, co udało nam się wspólnie osiągnąć w minionym roku. Ale musimy być uczciwi i trzeźwo patrzeć na nadchodzący rok.

Obrona wolności nie jest dziełem jednego dnia czy roku. To zawsze jest trudne. Zawsze jest ważne.

W czasie, gdy Ukraina nadal broni się przed rosyjskim atakiem i prowadzi własną kontrofensywę, nadal będą ciężkie i bardzo gorzkie dni, zwycięstwa i tragedie. Ale Ukraina jest przygotowana do walki. A Stany Zjednoczone, wraz z naszymi sojusznikami i partnerami, będą nadal wspierać Ukrainę w jej obronie.

W przyszłym roku będę gościł wszystkich członków NATO na naszym szczycie w 2024 roku w Stanach Zjednoczonych. Razem będziemy świętować 75. rocznicę powstania najsilniejszego sojuszu obronnego w historii świata – NATO. I niech nie będzie żadnych wątpliwości, zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w nasz sojusz NATO i artykuł 5. jest twarde jak skała. I każdy członek NATO o tym wie. I wie to również Rosja. Atak na jednego jest atakiem na wszystkich. To święta przysięga, by bronić każdego cala terytorium NATO.

W ciągu ostatniego roku Stany Zjednoczone zjednoczyły się z naszymi sojusznikami i partnerami w niezwykłą koalicję, aby przeciwstawić się rosyjskiej agresji. Ale praca przed nami to nie tylko to, przeciwko czemu jesteśmy, ale także to, za czym jesteśmy.

Jaki świat chcemy zbudować?

Musimy wykorzystać siłę i możliwości tej koalicji i zastosować je do podnoszenia poziomu życia ludzi wszędzie, poprawy zdrowia, wzrostu dobrobytu, ochrony planety, budowania pokoju i bezpieczeństwa, traktowania każdego z godnością i szacunkiem. To jest nasza odpowiedzialność. Demokracje świata muszą ją spełnić dla naszych obywateli.

Gdy zbieramy się dziś wieczorem, świat, moim zdaniem, znajduje się w punkcie zwrotnym. Decyzje, które podejmiemy w ciągu najbliższych pięciu lat, będą determinować i kształtować nasze życie przez kolejne dekady.

To prawda dla Amerykanów. To prawda dla ludzi na całym świecie.

I choć decyzje podejmujemy teraz, zasady i stawka są wieczne. Wybór między chaosem a stabilnością. Między budowaniem a niszczeniem. Między nadzieją a strachem.

Między demokracją, która podnosi ludzkiego ducha, a brutalną ręką dyktatora, która go miażdży.

Między ograniczeniem a możliwościami – tego rodzaju możliwościami, które pojawiają się, gdy ludzie nie żyją w niewoli, ale w wolności. Wolności.

Nie ma słodszy słowa niż wolność. Nie ma szlachetniejszego celu niż wolność. Nie ma wyższej aspiracji niż wolność. Amerykanie to wiedzą i wy to wiecie. I wszystko, co robimy teraz, musimy zrobić, aby nasze dzieci i wnuki również to wiedziały.

Wolność. Wróg tyrana, nadzieja odważnych i prawda wieków.

Wolność.

Stań z nami. My staniemy z tobą. Idźmy naprzód z wiarą i przekonaniem oraz z trwałym zobowiązaniem do bycia sojusznikami nie ciemności, ale światła. Nie ucisku, lecz wyzwolenia. Nie z niewoli, ale z wolności.

Niech Bóg was wszystkich błogosławi. Niech Bóg chroni nasze wojska. I niech Bóg błogosławi bohaterów Ukrainy i wszystkich, którzy bronią wolności na całym świecie.

Dziękuję ci, Polsko. Dziękuję, dziękuję, dziękuję za to, co robicie. Niech Bóg was wszystkich błogosławi.

*Tłumaczenie: redakcja OKO.press.*

*Przedruk ze strony internetowej portalu za zgodą jego redakcji.*

# LITERACKI NOBEL 2022

## Annie Ernaux – szczerłość bez kompromisu

O twórczości francuskiej noblistki rozmawiają: Agata Kozak – tłumaczka książek A. Ernaux, Janusz Termer – krytyk literacki, Zdzisław A. Raczyński – pisarz i Robert Smoleń – redaktor naczelny Res Humana.

**Janusz Termer:** Nie jestem zawodowym znawcą ani specjalistą od literatury francuskiej. Chciałbym wystąpić w roli zwykłego czytelnika tejże literatury. Wprawdzie w Polsce ukazało się co nieco z twórczości Annie Ernaux, lecz w naszym kraju pisarka nie była znana. Liczymy, że przyznanie jej nagrody Nobla tę sytuację zmieni, gdyż na tym między innymi polega rola nagród literackich, że wprowadzają do szerszego obiegu pisarza wartego bliższego poznania.

Trzy krótkie opowieści, które składają się na tom *Bliscy*, jaki właśnie się u nas ukazał, tworzą swego rodzaju narracyjne studium o współczesnej Francji, a także samej autorce i jej rodzinie. Rodzina, jej funkcjonowanie jest tutaj punktem wyjścia do rozważań na temat współczesnej kultury francuskiej, socjologii codziennego życia. Sama Ernaux zresztą mówi wprost – wynotowałem kilka takich fragmencików: „To, o czym mam nadzieję napisać i co byłoby najprawdziwsze, sytuuje się niewątpliwie na styku tematyki rodzinnej i społecznej, mitu i historii”. Dopełnieniem tego są inne jej słowa wyjęte z tego tomu: „To nie jest biografia i oczywiście też nie powieść. Może coś z pogranicza literatury, socjologii i historii”. Myślę, że to są najwzięźlejsze słowa, jakie można o tej książce powiedzieć – coś z pogranicza literatury, historii, socjologii, obyczajów i współczesnych przemian obyczajów we Francji naszych czasów. Można to odnieść zresztą do całego tak zwanego Zachodu europejskiego i do wszystkich przemian, jakich byliśmy i jesteśmy w dalszym ciągu świadkami.

**Zdzisław A. Raczyński:** Gratuluję pani Agacie tłumaczenia, precyzyjnego jak oryginał i wzbogacającego naszą znajomość współczesnej literatury europejskiej. Biję też brawo pomysłowi, aby trzy opowieści – *Miejsce*, *Pewna kobieta* i *Druga córka* – napisane przez Ernaux na przestrzeni trzydziestu lat, zebrać w jeden tom i wydać pod wspólnym tytułem. Tematyka, styl, przesłanie tych tekstów w pełni zabieg taki uzasadniają. Więcej, wydaje mi się, że zyskałaby na wymowie każda z opowieści, ponieważ ukazałaby wyraziściej kontekst rodziny, zbiorowości, w której imieniu przemawia pisarka.

Pan Termer zwrócił uwagę na niską niekiedy popularność, czy ściślej – złą promocję noblistów czy generalnie literatury wysokiej. W Polsce dotychczas przetłumaczono tylko jedno opowiadanie Ernaux, *Miejsce* – to, za które autorka otrzymała w 1984 r. nagrodę Renaudot. *Miejsce* zostało wydane w 1989 r. w niełatwej epoce, i od tego czasu, przez ponad 30 lat żaden wydawca, żaden instytut nie znalazł środków ani motywacji, aby przetłumaczyć i wydać autorkę, znaną i czytaną w wielu krajach. O poziomie gustów literackich i polityce promocyjnej wydawnictw niech też świadczy ta okoliczność, że

dwoje wcześniejszych laureatów literackiej nagrody Nobla – Abdulrazak Gurnah (2021) i Louise Glück (2020) również nie byli w Polsce tłumaczeni przed ich nagrodzeniem.

Przyznanie Ernaux nagrody Nobla zostało przyjęte niejednoznacznie także w jej ojczyźnie, chociaż to pierwsza we Francji kobieta nagrodzona literackim Noblem. Nie tylko postawa społeczna i lewicowe poglądy polityczne pani Ernaux były tego przyczyną. Krytyka literacka została tą nagrodą zaskoczona, ponieważ proza Ernaux jest tak różna od tego, do czego przyzwyczajony jest snobizm francuski. To nie jest Proust ani też Flaubert.

Niemniej debatę o tym, czy więcej w pisaniu Ernaux jest socjologii, czy literatury uważam za nieco wydumaną. To jest literatura! Nie socjologia! Ernaux powiedziała kiedyś w wywiadzie, że literatura, jeśli ma być sztuką, zawsze opowiada o człowieku. Czyli zajmuje się tym samym, co socjologia i antropologia. Jeśli prześledzimy twórczość Annie Ernaux od jej pierwszej, debiutanckiej powieści *Puste szafy*, to łatwo dostrzeżemy ewolucję stylu, języka. Ten „płaski” styl pisania, pozbawiony wszelkich ozdobników, metafor i odniesień literackich, te zdania rzeczownikowe, zdania z bezokolicznikiem, zawieszenia... to wszystko nie pojawiło się od razu. Ten chłodny, precyzyjny i bezosobowy styl Ernaux wypracowała, uznając go za optymalnie funkcjonalny wobec tematów, o których pisze. A pisze Ernaux o sobie i o społeczeństwie, o pozycji człowieka między klasami, który przebył całą trajektorię społeczną – od córki biednych rolników, potem sklepikarzy, do profesorki literatury. Rozmyślnie stylizowana na beznamiętny język socjologiczny, narracja Ernaux ma uczynić jej opowieść nie tylko prostą, ale też przez tę brutalną, bezkompromisową szczerość – wiarygodną.

Inspiracje teoriami socjologicznymi Pierre’a Bourdieu, twórcy antropologii refleksyjnej, są u Ernaux ewidentne. Cała jej proza, autobiograficzna w istocie, czy quasi-autobiograficzna, odzwierciedla los osoby, która doświadcza owej przemocy symbolicznej, o której mówił Bourdieu. Przemocy w obszarze zachowań, przyzwyczajzeń, a także – języka. To dlatego Ernaux odrzuca wysoki literacki styl wysublimowanej francuszczyzny, gdyż taki język jest jednym z przejawów tej przemocy symbolicznej, dzielącej społeczeństwo na grupy uprzywilejowane i symbolicznie deprecjonowane.

**Agata Kozak:** Tak, Ernaux pisze i dużo mówi o klasowości. Wyrzuciła się wręcz, że teraz do końca będzie mściła swoją rasę. Rasę ludzi biednych, nie-elit. Taki stosunek i takie słowa mogą się podobać lub nie, ale Ernaux bezsprzecznie należy do klasy wyższej. Jest bardzo elegancką, pięknie wyrażającą się panią z klasy wyższej. Może się mścić, ale jest na gorze, prawda?

**Janusz Termer:** Przypuszczam, że na sposób pisania Ernaux wielki wpływ miała XX-wieczna tradycja literatury francuskiej, do której ona nawiązuje wprost. Mianowicie do egzystencjalistów francuskich, Sartre’a, Camus’a, a nawet i do de Saint-Exupéry’ego. Prawdopodobnie też te związki są jednym z powodów, dla których pisarka jest we Francji tak niejednoznacznie przyjmowana. Ernaux nie wypiera się Marcela Prousta, wspomina nawet, że był jej mistrzem. Oczywiście, pisze innym językiem niż Proust, używa bowiem bardzo krótkich, treściwych zdań. Ale to tylko środek literacki; natomiast jej celem – jak właściwie wszystkich wybitnych pisarzy – jest dotarcie do istoty człowieczeństwa. Pisarze odwołują się do życia postaci z różnych środowisk społecznych. Ernaux uznała, że najpewniejszym gruntem, na jakim się obraca, jest jej własna rodzina pochodzenia chłopsko-proletariackiego, aspirująca do klasy średniej. Do tej pory w literaturze francuskiej postaci, o których pisze Ernaux, były postaciami raczej marginalnymi. W tekstach Ernaux ludzie wywodzący się z nizin są głównym punktem wyjścia badania kondycji ludzkiej. Te warstwy i bohaterowie, którzy z nich się wywodzą, są także przedmiotem analizy tego, co określilibyśmy pojęciem „nieprzejrzystość rzeczywistości”. Nieprzejrzy-

stość rzeczywistości społecznej przede wszystkim dzisiaj, gdyż wcześniej sytuacje, i socjologiczno-klasowe podziały były dosyć jasne i przejrzyste. Dzisiaj natomiast nastąpiły tektoniczne przesunięcia społeczne, wszystko się mocno pomieszało, nie tylko we Francji, ale na całym świecie. Ernaux pokazuje nam ten proces, mówiąc, że nie jest ważne, kto skąd pochodzi, lecz – do czego doszedł, co osiągnął. Opisuje z naukową bezstronnością i przenikliwością socjologa swoje środowisko, nie szczędzi akcentów mocno krytycznych, nawet złośliwych wobec własnej rodziny. A jednocześnie pokazując zarówno swoją wiedzę, swój sukces, nowy pułap, który osiągnęła, okazując też pełne zrozumienie dla społecznego uwarunkowania wymiaru losów opisywanych postaci.

W tym elemencie właśnie widziałbym nawiązanie do egzystencjalistów francuskich. Przypuszczam, że mistrzynią Ernaux jest prawdopodobnie Simone de Beauvoir, gdyż problemy – nazwijmy je tak najogólniej – feministyczne, są u pisarki bardzo ważne. Myślę, że przyczyniły się po części też do tego, że Ernaux została laureatką nagrody Nobla, bo szwedzcy akademicy wysoce cenią takie ujęcie tematu, literackie, a jednocześnie wkraczające wprost w rzeczywistość społeczną. Rozumianą też na sposób psychologicznie nowoczesny, postfreudowski.

**Agata Kozak:** Nie jestem przekonana, czy Ernaux naprawdę powołuje się na egzystencjalistów. Zgodziłabym się natomiast z tezą o związkach Ernaux z Proustem, ale tylko w tym zakresie, w jakim noblistka potrafi przyjrzeć się szczegółom, zatrzymać moment i uczynić ten czy inny drobiazg przedmiotem głębokiej refleksji.

**Janusz Termer:** Otóż to! I Ernaux robi to inaczej niż Marcel Proust, zamknięty w swej izolującej go od codziennych spraw korkiem pisarskiej pracowni. Potrzebował np. całego tomu, aby opisać to, co Ernaux potrafi zawrzeć w kilku zdaniach.

**Agata Kozak:** No tak, ale u Prousta jest kontemplacja. U Ernaux mamy coś zupełnie innego...

**Robert Smoleń:** Jej proza to lustro, w którym odzwierciedlają się przeobrażenia społeczne i mentalne na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Jeśli porówna się świat z lat czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych – ten, który Ernaux wspomina i ożywia na kartach swoich powieści ze światem, który towarzyszy jej dzisiaj i o którym pisze w ostatnich nowelach, to widzimy dwie różne rzeczywistości.

W *Latach* i w *Bliskich* widać narastający bunt zbiorowości, której głosem mówi pisarka, ich niezadowolenie z sytuacji, w jakiej się znajdują. Bunt wybucha, ale nie przynosi oczekiwanych owoców. Zamiast satysfakcji pojawia się rozczarowanie. W pewnym momencie okazuje się, że rewolucja nie zmieniła świata. Co prawda na początku lat osiemdziesiątych wygrana socjalisty Mitteranda podtrzymała jeszcze nadzieję, lecz ostatecznie to raczej wczorajsi buntownicy, i sama autorka, dostosowali się do rzeczywistości, pogodzili się z nią. Pozostało tylko rozczarowanie, że wiele rzeczy, owszem, się zmieniło, lecz zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażali.

**Agata Kozak:** Tak, później okazało się, że wielcy szefowie przedsiębiorstw, truciście środowiska, sprawcy afer i tak dalej, to są właśnie ci, którzy wieszali czarną flagę na Odeonie. Wczorajsi rewolucjoniści postępowali dokładnie tak samo, jak ich rodzice albo i gorzej.

**Janusz Termer:** Bunt się „ustatecznił”. Hipisi przeszli potem do biznesu...

**Robert Smoleń:** Każde dzieło literackie można odbierać przez pryzmat jednostki, gdyż ostatecznie opowiada o człowieku. Lecz prozę Ernaux, zwłaszcza *Lata*, czytam jako historię Francji, może nawet historię Europy, opowiedzianą przez pryzmat doświadczeń osobistych. To fantastyczna, porywająca opowieść. Autorka znakomicie pokazuje ewo-

lucję Europejczyków, od lat pięćdziesiątych poczynając. Rewolucja 1968 roku stanowi moment przełomu, który dla pokolenia Ernaux i dla niej samej na pewno był kluczowym przeżyciem generacyjnym. Kiedy czytałem tę część powieści, nie mogłem uciec od skojarzeń z Bertoluccim – ale nie z *Ostatnim tangiem w Paryżu*, tylko z *Marzycielami*.

A skoro to jest opowieść o zmieniającej się Francji, zmieniającej się Europie i o doświadczającej tych zmian generacji, to idealnie pasuje tu ten specyficzny język – chłodny, z dystansem. Ale jednocześnie, zwłaszcza w *Bliskich*, Annie Ernaux potrafi niespodziewanie zakończyć tę swoją opowieść w sposób wywołujący w czytelniku wielkie emocje. Przyznam, że zakończenia tych wszystkich trzech mikropowieści... po prostu wcisnęły mnie w fotel.

**Zdzisław A. Raczyński:** Podzielę się jeszcze jedną uwagą z lektur Ernaux – swoim zdziwieniem. My, Polacy, mamy do Francji stosunek szczególny. Rodzaj miłości bez wzajemności. Nosimy w sobie wyidealizowany obraz Francji.

**Janusz Termer:** Taki literacki.

**Zdzisław A. Raczyński:** Tak. Taki wysublimowany. Nie znałem, bo nie mogłem znać, Francji prowincjonalnej lat czterdziestych. Czytając jej opis u Ernaux – stąd nawiązanie do polskiej literatury wiejskiej – widziałem naszą, polską wieś przed kilkudziesięciu laty. Ta sama nędza, beznadziejność, socjalna drugorzędność. To samo uprzedmiotowienie ludzi, ich bezbronność, niewiara w lifty socjalne, ich upokorzenie i wstyd z tego powodu, że są, kim są. Wszystko to, co skłonni byliśmy przypisywać podziałom czy uwarunkowaniom politycznym lub geopolitycznym, okazuje się, jest wspólnym cywilizacyjnym doświadczeniem Europejczyków.

To jest literatura piękna, która dostarcza pewnych wrażeń estetycznych, ale zarazem to jest pewien obraz kraju. To, co ona mówi o fotografii, o zatrzymanym momencie. Już nie pamiętam, w jakiej jej powieści jest motto z Ęluarda, że sięga do szafy z niepotrzebnymi fotografiami czy niepotrzebnymi rzeczami, które ją ciągną w stronę przeszłości, a zarazem pozwalają jej wrócić i unieruchamiają. To jest właśnie ten jej sposób pisania, ale – jak mówię – te drobne elementy dla kogoś, kto... Pani nie wnika we francuskość, w obyczajowość francuską, to czasami jest naprawdę hermetyczne.

**Agata Kozak:** Bardzo cenię u Annie Ernaux i szczerość, i głęboką refleksję. Kiedy mówię „szczerość”, chodzi mi o taką szczerość i prostotę, która, wydaje mi się, jest rzadka w polskiej literaturze. Czasami myślę, że gdyby nie nagroda Nobla, to polski czytelnik, który by przeczytał jej książkę (nie mówię o *Latach*, ale raczej o *Bliskich* czy o tych książkach, które się ukazały) powiedziałby, że są nieco naiwne, tak absolutne są ich prostota i szczerość... I jednocześnie to przyznawanie się do pewnych rzeczy i bardzo proste podawanie wyznań czytelnikowi. Dla mnie to jest coś bardzo cennego. Natomiast we współczesnej literaturze polskiej powstaje wiele książek zapętlonych, zaciemnionych, jakby autorzy komplikowali schematy, wikłali fabułę i narrację, aby to, co ma się do powiedzenia, wydało się bardziej tajemnicze czy głębsze.

**Zdzisław A. Raczyński:** Jeśli, przykładowo, sięgniemy do prozy naszej noblistki, to *Prawiek i inne czasy* Olgi Tokarczuk będzie sytuował się na antypodach, jako rzecz, której forma ewidentnie przerasta treść. Zwłaszcza, że mamy w naszej tradycji pisarzy, którzy polski wiejski realizm magiczny tworzyli pięknie i prościej. Jak Nowak czy Myśliwski.

Proste może być piękne, a na pewno jest bardziej klarowne. Ale prosta, klarowna forma wymaga ciężkiej uważnej pracy. Historia twórczości Ernaux obrazuje ewolucję jej prozy w stronę wysublimowanej prostoty, która jednak aż trąci pewnym manieryzmem. Bo, pamiętajmy, czytamy prozę pisaną przez profesor języka francuskiego, znawcę francuskiej spuścizny literackiej. Doceniam funkcjonalność tego stylu pisarskiego wobec wybranej

tematyki, niemniej skrupulatne wykreślanie jakichkolwiek metafor, odniesień literackich budzi jednak pewną podejrzliwość o, paradoksalnie, nadmierną literackość tekstu, który wydaje się być sztucznie spreparowany na użytek zadanego efektu literackiego.

**Agata Kozak:** Na pewno ważną dla niej osobą była Simone de Beauvoir, ale nie w warstwie literackiej. Ernaux jeszcze jako licealistka przeczytała de Beauvoir i ta lektura była dla niej wstrząsem, ponieważ nie zdawała sobie sprawy z sytuacji kobiet. Nie miała porównania, a jej matka była stosunkowo wolną kobietą, która właściwie rządziła w domu, podejmowała decyzje i była bardzo silną osobowością. Ważność zetknięcia z Simone de Beauvoir polegała na tym, że Ernaux odkryła konieczność walki o wyzwolenie kobiet. Dlatego w tomie *Bliscy*, w *Pewnej kobiecie*, pisząc o śmierci matki, zauważa, że zmarła ona na tydzień przed Simone de Beauvoir. Niektórzy krytycy uznali takie odwołanie za nienaturalne, sztuczne. W moim przekonaniu, to zestawienie ma głębokie uzasadnienie, gdyż Ernaux w pewnym momencie zaczęła myśleć o kondycji matki jako kobiety i rozważała tę kwestię w świetle tego, co pisała Simone de Beauvoir. Ernaux nie dołączyła nigdy do ruchu wojującego feminizmu, nie identyfikowała się z feminizmem amerykańskim, ponieważ uważała – inaczej niż ruchy feministyczne – że problemy wszystkich kobiet nie są jednakowe, że kobiety nie stanowią jakby jednej klasy, że sytuacja każdej kobiety zależy również od kondycji społecznej...

**Janusz Termer:** ...która dla Ernaux jest bardzo ważna. I o której mówi z taką znajomością przedmiotu. To doświadczenie klasowe. Kluczowe. Można postawić tezę, że cała twórczość Ernaux wychodzi z tego doświadczenia – i upokorzenie, i zazdrość, i sympatia, i miłość... Wszystko, co się kłębi w człowieku, poprzez to właśnie konkretne doświadczenie staje się siłą jej literatury. Bo wyrasta ona z konkretnego, autentycznego doświadczenia. Małe miasteczko normandzkie i Francja, i – w jakimś szerszym rozumieniu – Europa.

**Zdzisław A. Raczyński:** Z powieści Ernaux, z jej licznych wypowiedzi i publicznych manifestacji rysują się wyraziste przekonania lewicowe i feministyczne pisarki. Niemniej nie one stanowią istotę czy ideologiczny punkt odniesienia jej twórczości. Pani Agata wspomniała powieść *Wydarzenie*. Jest podobna nowela – *Kobieta zamrożona*, tak chyba można przetłumaczyć jej tytuł, czy *Wstyd*, gdzie elementy unikatowych doświadczeń kobiety są bardzo mocne. Opowiadania autorki, nawet jeśli odwołują się do doświadczeń rodzinnych, zbiorowych, są autobiograficzne, bardzo osobiste, intymne. Nie tylko dlatego, że – przykładowo – w *Miejsu* i w *Pewnej kobiecie* narratorka i autorka stanowią jedną i tę samą osobę. Kunszt Ernaux w tym widzę, że pisząc o sobie, nie używa „ja”, a przez to domyślne chociaż nieobecne „ja” znajduje i wyraża prawdę, która jest czymś więcej niż tylko doświadczeniem i przeżyciem jednostki.

*Lata* są dziełem fundamentalnym, kluczowym, gdyż obejmują i syntezują wszystko, co Ernaux napisała i jak napisała. Powieść eksponuje społeczne i polityczne wątki, lecz przez pryzmat doświadczenia zindywidualizowanego. Monolog wewnętrzny w pierwszej osobie, bo taka jest maniera pisania Ernaux, nadaje indywidualnemu doświadczeniu głębi psychologicznej, niczego nie ujmując z antropologicznego i socjologicznego wymiaru uniwersalnego narracji autorki.

**Agata Kozak:** Uważam, że najciekawsze jest to, że Ernaux pisze o sobie nie pisząc o sobie (i na odwrót). W *Latach* udała się jej rzecz niezwykła, ponieważ napisała autobiografię, nie używając ani razu słowa „ja”. To po prostu jest autobiografia napisana w formie bezosobowej. Co jest zabiegiem fantastycznym, porywającym, gdyż autorka utożsamia się jednocześnie z całym pokoleniem, z czasem, w którym żyła, z krajem. Powieść *Lata* jest zupełnie inna od pozostałych książek. *Lata* są eksperymentem formalnym, najdalej posuniętym i, moim zdaniem, niezwykle udanym. To jest bardzo, bardzo ciekawe.

Uznanie jednych krytyków i sprzeciw innych wywołuje to, że Ernaux ujawnia sprawy niezwykle intymne. Na przykład opis aborcji w *L'Événement* jest dosyć trudny do wytrzymania...

**Janusz Termer:** Nie tak dawno, przed niespełna dwoma laty, wydarzeniem festiwalu filmowego w Wenecji był film *L'Événement*, młodej francuskiej reżyserki Audrey Diwan. Film, zrealizowany na podstawie prozy Ernaux, otrzymał nawet nagrodę Złotych Lwów...

**Agata Kozak:** Film Audrey Diwan jest oparty na książce pod takim samym tytułem, a książka mówi o aborcji w czasach, kiedy była zakazana, czyli o nielegalnej aborcji. Nie chciałabym jednak przypinać Ernaux łatki feministki. Ponieważ ona pisze o doświadczeniu ludzkim, a to doświadczenie ludzkie jest doświadczeniem kobiety.

Pod adresem Ernaux czasem padają mizoginiczne uwagi, które wywołują we mnie oburzenie czy wstręt. Najczęściej wyrażają je mężczyźni, stwierdzający z pewnego rodzaju pobłażaniem, że jakaś pani opowiada nam tutaj szczegóły swoich romansów czy swojej aborcji, czy pierwszego kontaktu seksualnego. Taka krytyka w ogóle nie zasługuje na polemikę. To, że dotychczas o czymś nie pisano lub że pisano innym językiem, nie znaczy, że tak ma być zawsze. Nowa epoka wymaga innego języka, innego ujęcia tematu.

Ernaux wypowiedziała kiedyś warte odnotowania zdanie: „Nie jestem kobietą, która pisze. Jestem kimś, kto pisze o doświadczeniach kobiety, a one różnią się od doświadczeń mężczyzny”.

**Robert Smoleń:** Ale z jej tekstów wyciera wprost dążenie do tego, żeby kobieta miała takie same prawa i taki sam status jak mężczyzna. To jest feminizm, tak jak rozumiemy go dzisiaj; niekoniecznie wojujący. Pamiętajcie, że to odnosi się do rzeczywistości sprzed kilkudziesięciu lat.

**Zdzisław A. Raczyński:** Analiza dorobku Ernaux przez pryzmat feminizmu byłaby jednak spłaszczeniem jej przekazu literackiego. Jej teksty traktują o innym doświadczeniu, głębszym, niepoznawalnym dla świata mężczyzn. Francja jest krajem patriarchalnym. Jest krajem klasowym, gdzie o miejscu w społecznej hierarchii mocno decyduje i status materialny, i status wykształcenia. Pisarstwo Ernaux demaskuje tę niewystarczającą dynamiczną strukturę i jest w jakimś znaczeniu próbą jej złamania. Naturalnie, powieści nie zmieniają społeczeństwa, lecz wyzwanie jest literacko i kulturowo atrakcyjne.

**Agata Kozak:** Jeśli Ernaux pisze o miłości, o swoich romansach z żonatymi albo znacznie młodszymi mężczyznami, to nie pisze tego w pogoni za sensacją ani po to, żeby epatować pikantnymi szczegółami. One w ogóle nie wydają się pikantne, te sprawy jakby automatycznie wchodzą, wpisują się w szerszy kontekst...

**Zdzisław A. Raczyński:** Komitet Noblowski podkreślił w uzasadnieniu, że nagrodę przyznano Annie Ernaux „za odwagę i kliniczną ostrość, z jaką odkrywa korzenie, zmiany i zbiorowe ograniczenia pamięci osobistej”. Ernaux jest w swoim pisarstwie bezpośrednia i brutalna, jak opisywana przez nią rzeczywistość. Lecz nie wulgarna, przeciwnie – miejscami wręcz poetycka.

Mówiliśmy o źródłach twórczości i stylu Ernaux... Oczywiście każdy pisarz, a tym bardziej Annie Ernaux – profesor literatury, wchłania, przyjmuje do siebie całą rodzimą tradycję literacką, w tym wielkich klasyków, całą spuściznę swego języka – to naturalne. Dopatrywałbym się w stosunku, jaki Ernaux ma do języka, pewnych związków z nową powieścią. Myślę tutaj o kimś takim jak Claude Simon, też noblista zresztą, jeśli chodzi o sposób formułowania tekstu, konstrukcję, całej warstwy literackiej. Nie do egzystencjalistów bym się odwołał, ale raczej bym w latach 50., 60. szukał źródeł...



**Janusz Termer:** ...tej tak zwanej „antypowieści”? Myślę, że bliższa jest tu, wedle mnie, tradycja egzystencjalistów. Tej „antypowieści” francuskiej, obróconej w stronę swej literackiej autonomizacji, która dziś jest już martwa, powiedzmy sobie szczerze, dzisiaj nikt już nie czyta. Pamiętam, jak jeszcze 50 lat temu ekscytowano się w Polsce antypowieścią francuską. Najwięksi miłośnicy literatury się zachwycali, niektórzy pisarze próbowali naśladować. A dzisiaj kto sięga po Michela Butora, tego od *Odmian czasu*? Czy po Nathalie Sarraute lub nawet noblistę Simona?

**Agata Kozak:** Nathalie Sarraute jest niezwykle ciekawą pisarką i wielka szkoda, że się po nią nie sięga.

**Janusz Termer:** Proza, jaką pisze Annie Ernaux, jest ciekawa dla nas dzisiaj tym, że coś nowego odkrywa. Francja, która się wyłania z jej książek, jest o wiele ciekawsza i bogatsza, niż ta z tradycyjnego, klasycznego, filozoficznego, intelektualnego pisarstwa francuskiego z początków XX w., jak choćby u André Gide’a, czy Mauriac’a, gdzie plebejscy z pochodzenia bohaterowie Ernaux byłiby tylko co najwyżej dalekim, słabo widocznym tłem dla innych postaci.

Przypuszczam, że zgodzimy się tutaj z tym, iż za ileś lat jeszcze będzie się sięgać po Annie Ernaux. Będzie czytana dopóki poruszane przez nią sprawy społeczne, socjologiczne, historyczne i psychologiczne (te ostatnie np. w *Drugiej córce*) będą żywe w tradycji i kulturze francuskiej oraz europejskiej.

Oprac. ZR

Andrzej ŻOR

## Podobieństwa i różnice. O „Bliskich” Annie Ernaux

Autorka książki jest mi (nomen omen) bliska; jesteśmy rówieśnikami, oboje urodziliśmy się we wrześniu 1940 roku, oboje pod tym samym znakiem Zodiaku – Panną, Annie jest starsza ode mnie o kilkanaście dni. Pierwsze pytanie dotyczy zatem biograficznych podobieństw i różnic, bo też wokół wątków biograficznych koncentrują się trzy części tej książki, pisane w różnym czasie: *Miejsce* (1982–1983), *Pewna kobieta* (1986–1987), *Druga córka* (2010), wydane teraz w jednym tomie. Może najpierw o podobieństwach.

Szukam analogii z dziejami własnej rodziny. Ojciec mojej matki, z chłopskiej rodziny z Kujaw, wyjechał w latach 90. XIX wieku za chlebem do Baku, tam jako robotnik zarobił trochę pieniędzy przy nafcie. Po żonę przywędrował do Siedlec, niczym Seweryn Baryka, pobrali się w 1909 roku, ale do roboczego kombinizonu i do Baku dziadek już nie wrócił. Mieszkali w Odessie, potem w Kijowie, dorobili się sklepu. Do Polski wrócili w 1918 roku i dalej prowadzili sklep we Włocławku, udało im się nawet zbudować własny dom. To tak jak rodzice Ernaux, ale oni zrobili to o jedno pokolenie później. Potem przyszła wojna i świat się zmienił. Dalszych kolei losu nie da się zatem zrozumieć bez podkreślenia różnic.

Powieść prawie zupełnie pomija wojnę, pierwszą i drugą, wydarzenia, które zaważyła tak mocno na losach wielu pokoleń w wielu krajach. Pierwsza wojna stworzyła ojcu Autorki okazję do społecznego awansu, porzucenia robotniczego fachu, do stania się sklepikarzem i restauratorem. Drugą wojnę Ernaux kwituje bodaj dwoma akapitami. Pierwszy dotyczy ucieczki w dniach inwazji niemieckiej: „raniły go w twarz odłamki pocisku i dał się opatrzyć w miejscowej aptece. Bombardowanie trwało nadal. [...] Wewnątrz kościoła

pełno było uchodźców. [...] Kiedy weszli Niemcy, wrócił do L... Sklep spożywczy został splądrowany przez tych, którzy nie zdołali uciec. Potem wróciła matka, a ja urodziłam się miesiąc później” (*Miejsce*, s. 30). Drugi fragment mówi o wkroczeniu Anglików i Amerykanów pod koniec II wojny, to już fiasko niemieckiej dominacji: „Czołgi przejeżdżały przez la Vallee, z otwartych włazów leciały tabliczki czekolady i saszetki z pomarańczową oranżadą w proszku [...] Potem [matka] relacjonowała lata wojny jak powieść, wielką przygodę swojego życia” (*Pewna kobieta*, s. 94). Pomędzy nimi znalazł się czas spokojny, nie wypełniony tragicznymi wydarzeniami, czas rodzinnych zajęć. Trauma była związana z pochodzeniem klasowym (jak pisze na czwartej stronie okładki Didier Eribon).

U nas było inaczej. Wojna spowodowała rodzinną degradację. Ojca, wcześniej dobrze zapowiadającego się naukowca, rozstrzelano za konspirację, dziadków wysiedlono, pół rodziny wojny nie przeżyło, matka, mając mnie na głowie, mozolnie poszukiwała jakichkolwiek warunków do życia – także po wojnie. Wszyscy stracili prawie wszystko. Dziadkowie nigdy nie wrócili do pozycji średnio zamożnych sklepikarzy. Proces wydobycia się na powierzchnię trwał wiele, dobrze ponad dwadzieścia, może i trzydzieści lat. Z autorką możemy więc mówić o podobnej ścieżce przesuwania się w górę w hierarchii społecznej, ale o zupełnie różnych znamionach tej wędrówki. Dla niej jest to linia jednostajnie wznosząca, w przypadku mojej rodziny – raczej szybki zjazd w dół i trudna wspinaczka, nie zawsze udana. To sprawa miejsca, nie czasu. A żeby, żartując trochę, podkreślić jeszcze raz podobieństwa – my, dzieci z innego trochę świata, też dostawaliśmy paczki z UNRRA – poza oranżadą w proszku i gumą do żucia bawiły nas puszki z etykietą „krwawa kiszka, krwawa kiełbasica”.

Dziadkowie, rodzice, dzieci – wszyscy w tych pokoleniach, które opisuje Ernaux, to postaci z minionego czasu. Nosili na swoich plecach trud uporania się z przeciwnościami losu, walczyli o swoją egzystencję. Zrobili swoje, wspięli się po drabinie społecznej, stworzyli warunki dla pokolenia wnuków i dla ich dzieci. „[Ojciec] chciał przede wszystkim, żebym była szczęśliwa, ona zaś – żebym była *na poziomie*, a suma ich pragnień sprawiała, że w rodzinie i w naszej robotniczej dzielnicy stałam się obiektem zazdrości, prowadząc egzystencję osoby uprzywilejowanej [...]” (*Druga córka*, s. 162). W drobnomieszczańskich rodzinach obowiązywało zachowanie uzależnione od tego, co ludzie powiedzą. Trochę korciło mnie, by zebrać wszystkie fragmenty tekstu podane w cudzysłowach, czy złożyć się w pełne znaczenia przesłanie, ale w krótkim tekście nie ma miejsca na takie zabawy. Natomiast nie sposób nie zapytać o zdolność kolejnych generacji do przetrwania, do sprostania przeciwnościom losu, bo na takie napotkają, bez wątplenia, i do wymogów nadchodzącej epoki. Nie mam żadnych powodów, a przede wszystkim uprawnień, by wieszczyć katastrofę, ani popadać w euforię wiary w niespożyte możliwości ludzkiego umysłu i w wytwory sztucznej inteligencji. Ale pytać trzeba, bo ten czas może okazać się trudniejszy, niż ten miniony, a nowe pokolenia słabsze mentalnie, bo pozbawione doświadczeń, dających odporność „na życie”. Z ostatnich informacji WHO wynika, że do roku 2030 depresja stanie się najbardziej dotkliwą chorobą ludzkości. To zatem kwestia czasu, nie miejsca.

A książka Annie Ernaux – mojej rówieśniczki to piękna książka i piszę tak nie dlatego, że to noblistka. Były przecież Noble trafione i pomyłkowe. O jej bezspornych walorach artystycznych powiedzieli już chyba wszyscy uczestnicy dzisiejszej i wielu innych dyskusji, bo nie sposób o tym nie mówić, więc i ja muszę choć trochę. Operuje zdaniami tak prostymi, że zachwycają swoją wykwintnością. Jest w nich niesamowite wprost skondensowanie obrazu, który chce przekazać. Nie ma słów, a tym bardziej zdań pustych, wszystkie zawierają ważną treść. Złapałem się na tym, że wielokrotnie odkładałem książkę, by zachować w pamięci ledwo co przeczytane zdanie, by nie pospieszać zbyt. No cóż, rocznik 1940 to dobry rocznik, jak dobre wino, naprawdę obfitował w liczne talenty.

Annie Ernaux. *Bliscy*. Tłum. Agata Kozak, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022.

# WACŁAWA SADKOWSKIEGO LEKTURY NIEOBOWIĄZKOWE



Wacław Sadkowski

W pierwszych dniach tego roku pożegnaliśmy Wacława Sadkowskiego, naszego - Czytelników i Redakcji - przewodnika po świecie pięknych słów i mądrych myśli. Wieloletni redaktor naczelny *Literatury na Świecie*, prezes i redaktor naczelny Spółdzielni Wydawniczej *Czytelnik*, dla wielu był guru polskich krytyków literackich. Fakt, że współredagował, jako zastępca redaktora naczelnego, także *Res Humana*, że regularnie, co dwa miesiące, dzielił się na naszych łamach swoimi *myślami nieobojętymi o lekturach nieobowiązkowych*, poczytywaliśmy sobie za zaszczyt. Zwracał uwagę na najbardziej interesujące nowości wydawnicze, wskazywał książki, do których warto wracać, z lamusa wyciągał perełki.

Nie moglibyśmy pozostawić Państwa bez przypomnienia kilku jego tekstów. Niełatwo było je wybrać, bo wszystkie stanowią małe arcydzieła. Z pewnością dostarczą Państwu sporo intelektualnej przyjemności, nawet jeśli zmąconej świadomością, że tego ciętego pióra, elegancji, precyzyjnego dostrzegania kontekstów i podtekstów będziemy teraz mogli szukać już tylko w archiwaliach.

## Pominięcie niebaczne, ale i niewybaczalne

Recenzja książki Aleksandra Wata *Dziennik bez samogłosek* zamieszczona w *Res Humana* nr 4/2016.

Jeszcze zdążyłem się „załapać” na skierowanie do druku *Dziennika bez samogłosek* Aleksandra Wata w „Czytelniku”, w którym to wydawnictwie w grudniu roku 1988 objąłem funkcję prezesa i redaktora naczelnego i pełniłem ją do końca stycznia roku 1990.

Jeszcze jesienią roku 1989 cały zarząd „Czytelnika” podał się do dymisji *in corpore*. To zbiorowe „zwolnienie stołków” nie miało w polskim ruchu wydawniczym precedensu (a do dziś nie doczekało się też i naśladowców). Miarą zaskoczenia, jakim była ta nasza decyzja dla rady nadzorczej tej oficyny, uwolnionej po czerwcowych wyborach do Sejmu od nadzoru „władz zwierzchnich”, było zwrócenie się do mnie jej nowego rzecznika, nieodżałowanej pamięci Artura Międzyrzeckiego, z prośbą, bym nie odchodził z wydawnictwa przed końcem stycznia, gdyż mój wybrany już przez ową radę następca, Jerzy S. Sito, będzie mógł dopiero wtedy przejąć po mnie schedę. Poczucie odpowiedzialności za normalne funkcjonowanie wydawnictwa skłoniło mnie do wysłuchania tej prośby; i właśnie wtedy miałem sposobność skierować autobiograficzne zapiski Wata do drukarni. Ta prolongata mej „władzy” zirytowała wszakże nowego członka rady i samozwańczego przedstawiciela nowego suwerena, Michała Komara, który nie odmówił sobie satysfak-

cji zainstalowania na drzwiach pokoju, w którym jeszcze przez styczeń pamiętnego roku 1990 przebywałem, tabliczki z nazwiskiem nowego lokatora owego, nie nazbyt okazałego gabinetu. Zachowanie takie bardzo jest charakterystyczne dla realizatorów wszelkich odmian „dobrej zmiany”, odnotowuję je dla upewnienia obecnych „pospieszalskich” w nowo nabywanych prawach, iż nie odstają od obyczajowej normy. Ale przyznam, że u subtelnego znawcy etycznych przesłań powieści Josepha Conrada postępek taki nieco mnie zaskoczył.

Przestrzegał poeta, że spisane będą wszelakie czyny i odruchy, dopisują więc ten epizodzik do kroniki zachowań ludzkich w czas burzliwy, dla którego, w dosłownym tych wyrazów rozumieniu, w pełni odpowiednim określeniem wydaje się niemiecka nazwa Sturm und Drang Periode; tyle, że nic nie wskazuje, by miał się z tej „burzy i naporu” wyłonić jakiś – choćby i zminiaturyzowany, spolszczony – Goethe czy Schiller. Folklor zaś podsuwa mi jedną jeszcze przestrożę: nie przepędzajcie, abyście nie byli przepędzani!

I w tym właśnie okresie ekspediowaliśmy do druku Watowski *Dziennik bez samogłosek* – oba tomy *Mojego wieku* były już – jeśli dobrze pamiętam – w drukarni, która pracowała na zwolnionych obrotach. Oczywiście, nie doczekałem się już ukończenia tego edytorskiego przedsięwzięcia. Oba te cykle zapisków (i zarejestrowanych przez Czesława Miłosza wspomnień mówionych) znałem z wydań londyńskich, z tym, że poznawałem je w kolejności odwrotnej do tej, w jakiej powstawały: wcześniejszy *Dziennik bez samogłosek* (zakończony w roku 1964, w którym Wat dotarł do USA), czytałem już po *Moim wieku*, powstającym w toku drugiej połowy dekady nagrywany i spisywany przez Miłosza, które to dzieło wywarło na mnie wrażenie wręcz obezwładniające, tyle, że niekorzystne dla tomu „bez-samogłoskowego” (nie w całości zresztą napisanego w ten niepowszedni sposób). W *Moim wieku* czytelnik miał – i nadal ma – do czynienia niejako z żywym procesem werbalizowania doświadczeń i losów życiowych narratora, jakby w bezpośrednim z nim obcowaniu. Ogromna, nie do przecenienia zasługa Miłosza, że podjął się zadania przyjęcia „na żywo” formułowanej relacji z kilkudziesięciu lat życia narratora, od początków jego działalności pisarskiej i redaktorskiej. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych był Wat twórcą i szefem swego rodzaju komety na czasopiśmienniczym niebie – *Miesięcznika Literackiego*, następnie przez całą niemal dekadę był duszą i mózgiem jednego z najważniejszych wydawnictw warszawskich, Gebethnera i Wolffa; po wybuchu wojny dwa lata spędził w radzieckich więzieniach (z osławioną Łubianką włącznie), a kilka dalszych przeżył – wraz z żoną i synem – na wygnańczych szlakach „ojczyzny światowego proletariatu”, aż po powrót do Polski i kilka trudnych, omroczonych nasilającą się chorobą lat w stalinowskiej Polsce, by ostatnie lata strawić na wędrówkach pomiędzy Francją a Stanami Zjednoczonymi. I całej tej odysei nadał skalę wręcz epicką, nie mającą równych w całej naszej, dotychczasowej literaturze „łagrowej”. A rozpamiętywał tę odyseję w serii rozmów z Miłoszem, w toku dialogu, przybierającego częstokroć liryczną intymność, dialogu, w którym interlokutor ani razu nie naruszył integralności narratora, swymi „wtrąceniami” jedynie stymulując jego narrację, podsuwając trafnie skojarzenia, „dopinając” konkluzje i wnioski.

Rzecz naturalna: relacje Wata są niekompletne, kilku nagrań się nie udało zarejestrować, niektóre nagrania nie dały się odtworzyć (dokonywano ich w początku siódmej dekady poprzedniego stulecia, technika nagrań dopiero ząbkowała). *Mój wiek* zawiera w sobie kilka tekstów napisanych przez Wata *ex post*, włączonych pomiędzy nagrania uzyskane z taśmy. I te „wtręty” pisarskie ustępują „zapisankom” pod względem dynamiki narracji, sugestywności odtwarzanych w żywym wspomnieniu nastrojów. W trakcie owych zabiegów przygotowawczych do owego nowego, „czytelnikowskiego” wydania obu cykli autobiograficznych Aleksandra Wata nie zdołałem jeszcze przeczytać się w *Dziennik bez samogłosek*, a tym samym docenić jego pisarskiej doskonałości. Tom ten lokuje się śmiało na szlaku wielkich

autobiografii – pomiędzy świętym Augustynem, Janem Jakubem Rousseau i kardynałem Newmanem, ale chwilami także w odnodze eseistycznej, między *Próbkami* Montaigne’a a maksymami Chamforta (a trochę jakby na przekór *Mysłom* Pascala, krążącym nieustannie wokół nadziei na wybawienie...). I cała ta tradycja prozy w najgłębszym tego pojęcia rozumieniu podsuwała Watowi formuły słowne celniejsze nawet – w moim przekonaniu – od jego wierszy.

Nie mogę sobie darować owego przeoczenia, zawstydającego niedostrzeżenia tej książki w owym czasie, u krańca mych edytorskich doświadczeń. Nie będę cytował przykładów – zajęłoby to całą powierzchnię tego numeru *Res Humany*. Namawiam do lektury tej książki. Najwartościowsze jest wydanie „czytelnikowskie” z roku 2001, późniejsze od tego, z którym miałem do czynienia (ukazało się w roku 1990). Ale do wydania późniejszego mistrzowską oprawę edytorską (erudycyjne przypisy – ponad dwieście stron drobnego druku, plus indeks osób – kolejne niemal dwadzieścia stron) przygotowali Krystyna i Piotr Pietrychowcie. Można uznać tę edycję za kanoniczną dla wszelkich wydań dzieł Watowskich; jest nieocenionym źródłem nie tylko wiedzy o autorze tych wspomnień, lecz w ogóle o „naszym wieku” XX, a poniekąd i o jego świadomych i nieświadomych przedłużeniach.

# Gra własnym życiem

Recenzja książki Szilarada Rubina *Gra w cykora zamieszczona w Res Humana nr 2/2020.*

Książka dość niezwykła. Przeleżała w biurku autora dobre kilkadziesiąt lat, schowana tam przezeń z nieujawnionych przyczyn (najwidoczniej wstydliwych, bo polityczna cenzura nie wchodziła w tym wypadku w grę). Drukiem pojawiła się po raz pierwszy u samego początku lat sześćdziesiątych, w okresie, kiedy jej autor wchodził właśnie w fazę bujnego rozwoju twórczego. Tekst jej jednak – jak nam podano do wiadomości – powstał znacznie wcześniej. Zarazem też jej krzepnięcie artystyczne dokonywało się niemal równocześnie z rozsnuwaną przez pisarza akcją; akcja ta nabierała pełnokrwistości artystycznej niejako wraz z upływem czasu, zarówno powieściowego, jak i kalendarzowego. Mawiano kiedyś: *habent sua fata libelli* (i książki mają swe losy), a w tym wypadku wydają się bliźniaczo zbieżne ze stanem ducha jej autora.

Akcja *Gry w cykora* rozpoczyna się zrazu w gronie węgierskiej tak zwanej złotej młodzieży, spędzającej wakacje w znanym ośrodku letniskowym nad Balatonem. Pisana w pierwszej osobie, w rytmie pogłębiającej się intymności, powieść Rubina wprowadza nas stopniowo w życie rodzinne jej bohatera, a zarazem narratora. Jego ojciec, utrudzony tragicznymi losami wojennymi, zdaje się dogorywać w samotności, matka – emerytka, nawykła do samodzielnego zajmowania się synem. Ten zaś należy do komunistycznej organizacji młodzieżowej. Jest w niej chyba „aparaczykiem”, gdyż pobiera z jej kasy pieniądze, wystarczające na dość wystawne wakacje (podróż nad Balaton z odległej miejscowości nadgranicznej odbył wagonem sypialnym pierwszej klasy). Ale wakacje już dobiegają końca, a w kieszeni pozostały tylko mizerne resztki wakacyjnych funduszy, ledwie wystarczające na podróż powrotną trzecią klasą pociągu osobowego.

A w dodatku młodzieńcowi brak już zapału do działalności politycznej. Wypadałoby mu rozpocząć jakieś nauki przysposabiające do podjęcia w nieodległej przyszłości któregoś intratnego zawodu. Nie poświęca on jednak swej przyszłości żadnej właściwie myśli; zastanawia się nad tym tylko, że powrót w strony ojczyście przerywa mu kontakt z poznaną w czasie pobytu w nadbalatońskim kurorcie dziewczyną (skądinąd tzw. uchodźczynią z klas upadających). Jej uroda i wdzięki,

opisane przez autora względnie wyraziście, wpadły bohaterowi powieści w oko; a z każdym dniem przekonuje się on, że zapadły mu głęboko w serce. I ten właśnie proces staje się głównym tematem powieści.

Całe to wprowadzenie w główny problem napisane jest w miarę zręcznie, ale czytelnika polskiego zaskakuje nie tylko najzupełniej nieporównywalnymi do sytuacji młodego pokolenia w ówczesnej Polsce warunkami życia w pierwszych powojennych latach na Węgrzech. Jeśli by miały się pojawiać jakieś analogie, to jedynie do zachowań i sytuacji pospolitych w kręgach naszej „złotej młodzieży” w okresie międzywojennym. Węgierski znudzony „działacz młodzieżowy” nie zaznał żadnego doświadczenia wojennego, nie zetknął się z żadną bohaterszczyzną ani w ogóle żadną mitologią patriotyczną. W jego polu widzenia nie ma też żadnych właściwie konfliktów światopoglądowych, politycznych, ideologicznych. Jedyne, co się w ogóle zmienia w sytuacjach ludzi, ukazywanych w tej powieści, to ich usytuowanie materialne: dawni właściciele stosunkowo spokojnie oddawali swoje dotychczasowe pomieszczenia nowobogackim, postrzeganym jako po prostu dorobkiewiczze, a nie żadni tam przedstawiciele nowej kasty rządzącej. I odbywało się to wszystko niemal bezszelestnie, bez ostentacji i prawie bez wzajemnych napięć.

Ale w tym właśnie punkcie narracja powieściowa nabiera dramatyzmu, a jej bohater – rumieńców życiowej pasji. Okazuje się bowiem, że nie godzi się już z utratą marzeń o zdobyciu względów owej spotkanej nad Balatonem dziewczyny. Co więcej, w toku uzyskiwanych od niej epizodycznie prób realizowania tego związku na stałe, okazuje się, że „pan młody” zupełnie się nie nadaje do tej formy trwałego, wzajemnie sterowanego współżycia: jest brutalnie zdobywczy i władczy, absolutnie niewrażliwy na uczuciowe potrzeby partnerki. Ta zaś nie godzi się na niewolniczą podległość brutalnemu sobkostwu nie-męża właściwie, lecz zwyrodniałego w istocie „pana i władcy”. Młodzi rozstają się po kilku prostackich awanturach; z czasem kobieta zawiera inny związek (tym razem już małżeński), banalny i nie nazbyt „awansowny”. Bohater natyka się na nią w okolicznościach przypadkowych, podróźniczych, choć tym razem już bynajmniej nie luksusowych. On też podróżuje – zarabia na swoje samotne życie pospolitym dziennikarskim łągostwem. Najpewniej oboje udają, że się po latach nie rozpoznali.

Ale w tym smutnym finale powieści autor poddaje swego bohatera analizom nader wnikliwym i na swój sposób odkrywczym, a jego powieść – chciałoby się powiedzieć – dojrzeva artystycznie w naszych oczach. Czytelnik zaś nabiera przekonania, iż jej bohater uświadomił sobie wreszcie, że to on sam małości i w gruncie rzeczy nikczemności swego samczego charakteru przypisać musi swą nikczemnie zasłużoną klęskę życiową. W tym też punkcie rozwoju jego osobowości tłumaczka zaczyna ewidentnie przejmować się jego uczuciami i przeżyciami. Jeśli w swej początkowej partii styl jej przekładu charakteryzuje się swoistą elegancją poprawnej, starannej translacji literackiej tekstu oryginalnego, w końcowych partiach nabiera skrupulatnie powściąganej, ale wyraźnie wyczuwalnej barwy uczuciowej, dramatyzmu pulsującego pod dyskretnie powściąganą warstwą językową.

Ale przecież w toku całych niemal dziejów literatury hymny o miłości utraconej z winy innych, obcych – od tragicznych losów partnerów pochodzących z klas nie tylko różnych, lecz wręcz skonfliktowanych poczynając po zbrodnicze intrygi wrogów i zazdrośników – osiągnęły w ciągu wieków miażdżącą przewagę liczebną nad wszelkimi samooskarżeniami słusznie porzuconych i opuszczonych amantów. Dzięki temu też wypracowano nader bogaty repertuar stylistycznych lamentów i skarg owych „skrzywdzonych i poniżonych”. Potępienia zaś morderczych samobójstw, a co najmniej samookaleczeń amantów niedojrzałych do miłości w pełni i sprawiedliwie wzajemnej, zdarzały się nierównie rzadziej i tym samym uboższy zgromadziły materiał stylistyczny. Autor i tłumaczka tej powieści wybrali tedy trudniejszą, rzadziej wytyczaną drogę.

# Alfreda Łaszowskiego próba dialogu ze współczesnością

*Fragment książki Literatura katolicka w Polsce. Narodziny, rozwój, pułap poznawczy i artystyczny. Wydanie drugie, skorygowane i uzupełnione. Pozycja ukazała się w serii Biblioteka Res Humana w roku 2017. Jej pierwsze wydanie pochodzi z roku 1963. Komentując powrót do tej tematyki, Wacław Sadkowski stwierdził, że stan tej literatury ukazał mu się „pod wieloma względami zaskakujący, a zarazem znamienity: programowa katolicka twórczość literacka weszła w fazę niemal zanikową, której nikt z nas przed półwieczem nie był w stanie przewidzieć”.*

*Tytuł wybranego fragmentu – Redakcja Res Humana.*

Inną – mniej ambitną, ale także ryzykowną – próbą podjęcia ważkiej problematyki namiętnie dyskutowanej w owym czasie w środowiskach katolickich była powieść Alfreda Łaszowskiego *Proboszcz z Saint Galo* (1961).

Skądinąd Łaszowski był w nurcie pisarstwa katolickiego osobowością godną uwagi. Startował nader burzliwie w latach 20., zasłynął wkrótce jako uczestnik i inicjator niejednego ówczesnego sporu ideowo-literackiego, wywoływanego przez środowiska narodowo-radykalne; szczególnie żywe echa wzbudził cykl napisanych przezeń reportaży, sławiących faszystowski przewrót Mussoliniego we Włoszech. Przez cały natomiast okres powojenny, aż do wydania wymienionej wyżej książki, pozostawał na drugim planie życia literackiego; zajmował się żmudną pracą nad powieścią o świętym Augustynie, a od czasu do czasu publikował przekorne recenzje i szkice literackie (pod pseudonimami Edward Jastrząb i Alfred Gerard). Dopiero na przełomie lat 50. i 60. rozwinął działalność literacką zaangażowaną we współczesne problemy i dyskusje. Najpierw wydał napisaną jeszcze w latach wojny powieść *Psy gończe* (1960), niesłusznie niedocenioną przez krytykę; była ona zaszyfrowanym w post-ekspresjonistyczną wizję powieściową obrachunkiem z błędami ideowymi popełnionymi w latach młodości przez autora.

Bohater tej powieści uległ był zafascynowaniu dynamizmem reprezentowanym przez Graala, pragnącego zniewolić i podporządkować sobie całą ludzkość, a poprzez nią – także Boga. „On bowiem przez całe życie uciekał przed nim, rozmięniał się na dziesiątki i setki, ukrywał w tysiącach postaci i nigdy nie dawał się złapać w obrębie jednego istnienia. Ale ilekroć próbował go osaczyć, On zaraz pokazywał mu twarz pojedynczego człowieka. Im więcej jednak Niepochwytny rozpraszał się i dzielił, tym bardziej narastała w Graalu tęsknota do powszechności: chęć pograżenia się w pełnym, ciągłym i nieprzerwanym istnieniu.” Ten nietzscheańsko-heidegerowski poryw Graala charakteryzował go niedwuznacznie jako faszystę – Rasp tedy, właściwy bohater powieści, będący autorskim *porte-parole*, wyrażał autorskie inklinacje ku nacjonalistycznemu totalizmowi (to o Łaszowskim właśnie powiedział jego mistrz w rzemiośle krytyczno-literackim, Karol Irzykowski, że totalizm pomieszał mu się z totalizatorem). A wreszcie, w rozstrzygnięciu intrygi powieściowej, Rasp – zabijający Graala w sprawiedliwym odwecie za zamordowanie Lidii – wyrażał autorskie potępienie morderców, którzy uśmiercili porywającą ideę, tak jak Graal uśmiercił dziewczynę wyzwalającą pełnię męskości Raspa.

Cała ta rozprawa z faszyzmem zamykała się tedy w kategoriach psychologicznych, a nawet właściwie psychoanalitycznych (modne były w owym czasie takie psychoanalityczne testy stosowane wobec faszystów) i w konwencjach narracyjno-stylistycznych prozy ekspresjonistycznej – znakomicie zresztą opanowanych. *Psy gończe* z tych też względów znać wypada za ciekawy dokument sposobu reagowania na doświadczenia wojenne, spotykany w kręgach ideowych i intelektualnych, z jakich wywodził się Alfred Łaszowski.

Dругa powieść Łaszowskiego, *Proboszcz z Saint Galo*, której akcja toczyła się współcześnie we Francji (ale chodziło w niej o sprawy występujące w pokrewnej wersji i u nas), mniej była ambitna artystycznie i mniej frapująca. Łaszowski starał się w niej podjąć szereg zagadnień nękających ówczesne duszpasterstwo kościelne, szukające nowych form i sposobów oddziaływania na wiernych – ale nie stawiał swej książce żadnych właściwie zadań artystycznych. Powieść ta napisana była językiem publicystycznym, przeładowana tyradami i dysputami; autor rezygnował w niej całkowicie z wszelkich zabiegów kompozycyjnych i narracyjnych, mających wytworzyć w czytelniku napięcie, zmusić jego aparat myślowy do subtelniejszych dociekań, przewidywań, wewnętrznego zaangażowania w książkę. Zamiast takiej konstrukcji artystycznej Łaszowski podsuwał czytelnikom swego rodzaju kronikę „na gorąco” spisywanych wydarzeń, jakie miały miejsce w miasteczku Saint Galo od momentu przybycia nowego proboszcza do chwili jego tragicznej śmierci.

Kronika ta miała jednak tę przynajmniej, niejako dokumentacyjną zaletę, iż w sposób dość bezpośredni odzwierciedlała pewne nastroje, oczekiwania i poszukiwania podejmowane w owym czasie w Kościele katolickim w celu unowocześnienia, uwspółcześnienia jego działalności. Z tego też względu *Proboszcz z Saint Galo* kojarzył się czytelnikom raczej z omówioną wyżej powieścią Dobraczyńskiego *Wyczerpać morze*, niż z nurtem studiów psychologicznych analizujących przeżycia i doznania religijne, które to doświadczenia duchowe ukazywane z ujmującą szczerością wypełniały na przykład *Pamiętnik wiejskiego proboszcza* Georgesa Bernanosa.

Rozczarowanie czytelników należących do kręgu, do którego ta powieść była adresowana, było tym głębsze, że jej pierwsze partie (a także tytuł, nawiązujący właśnie do powieści Bernanosa) zdawały się zapowiadać utwór o podobnej problematyce. Bohater tytułowy powieści Łaszowskiego, ksiądz Patryk, otwarcie podejmował szereg spraw, o których dotychczas nie rozmawiano w parafiach; nie wahał się na przykład przyjąć zaproszenia do perwersyjnego klubu „Między nami”, wychodząc z założenia, że „nie ma takiego grona, do którego kapłan nie powinien wejść z wiarą, że je przeobrazi”. Nie było w postawie księdza Patryka wyniosłej, faryzeuszowskiej pruderii – ale zarazem można było odnaleźć w jego planach opanowania parafii szereg elementów niemal w całości wiernych tradycyjnemu, fundamentalistycznemu klerykalizmowi.

Ksiądz Patryk, bez reszty ogarnięty pasją totalnego podporządkowania życia parafian katechizmowemu rygorowi, władczo pouczał młodego człowieka, pragnącego poślubić dziewczynę: „Wspominałeś, że wystarczacie sobie nawzajem, że nikogo wam więcej nie trzeba. Tymczasem w miłości waszej Bóg chce uczestniczyć. Dlatego uczynił z małżeństwa sakrament. [...] On jest pierwszą przyczyną płodności. Nie na darmo nazwano go kiedyś Bogiem urodzaju, to znaczy siłą sprzyjającą życiu”. Ten dyktatorsko usposobiony do parafian proboszcz nie gardził żadnym sposobem ani chwytem, by swój „rząd dusz” umacniać i rozwijać. Kiedyś zgadał się z miejscowym lekarzem, który w taki oto sposób wystawiał swoich pacjentów na łup księdza (naruszając zresztą tajemnicę i gwałcąc etykę lekarską, która nakazuje zatajenie przed pacjentem nieuleczalnego stanu jego choroby):

„Udało mi się sporządzić dla księdza taką małą, ale dość przejrzystą mapkę, na której czarnymi kropkami oznaczyłem mieszkania i domy umierających. Proszę! Tu są ulice i numery lokali, a obok nazwiska znanych mi pacjentów wraz z adresami na załączonej karteczce. Oczywiście nie każdego mogłem i chciałem uprzedzić o tym, że ksiądz go odwiedzi. Czasami lepiej jest takiej wizyty z góry nie zapowiadać, bo jak już ksiądz niespodziewanie się zjawi, to przecie nie będzie im wypadało księdza wyprosić”.

Ksiądz Patryk przyjął ten donos z wdzięcznością i wprawą profesjonalnego „powławiacza dusz”:

„- Jestem na to przygotowany - rzekł cicho. - Mnie to już nieraz spotkało. Ale ma pan rację. Przedwczesne ujawnianie nawet najlepszych zamiarów niekiedy mija się z celem. Najpierw się zdziwią, a potem mogą zaprotestować i wtedy nie ma sensu narzucać im tego wbrew woli. Ciesz się, że pan doktor jest mojego zdania. Dziękuję panu za



tę mapę i niezwykle przejrzysty szkic orientacyjny. Obejrzą je sobie dokładnie i dotrą wszędzie, gdzie tylko będzie możliwe i pożądane.”

Takie oto instrukcje przydatne w powszedniej pracy parafialnego duszpaste-rza przekazywał w swej powieści wytrawny znawca prozy ekspresjonistycznej i natchniony propagator „ekstazy kontynentalnej”, której istoty nie podejmuję się przedstawić w języku semantycznie uporządkowanym. Rzetelność wymaga jednak uzupełnienia oceny tej powieści odnotowaniem refleksji, która nawiedziła jej autora, jak gdyby skonfundowanego w pewnej chwili niebezpiecznym zawężeniem poznawczych horyzontów jego książki.

Otóż w dalszych partiach powieści uwaga autora odwraca się w dużym stopniu od zagadnień praktyki duszpasterskiej i skupia na zagadnieniach sztuki kościelnej. Ksiądz Patryk był rzeźbiarzem – studiował w Academie des Beaux-Arts w Paryżu, „przez sześć lat rzeźbił nagie postacie mężczyzn i kobiet”, jak sobie opowiadają podniecone parafianki. Działalność w parafii Saint Galo rozpoczęła od usunięcia z miejscowego kościoła szmirowatych obrazków i figurek. Grzmiał z ambony: „Te dzieła nie zostały poczęte w stanie łaski. Zrodziła je chciwość handlarzy, bezdusność i pustka. Ja pytam was, kto śmiał znieprawić i wypaczyć twórczą wyobraźnię ludu, zatruwając ją wszechobecnym widokiem tej lukrowanej błogości i porcelanowego mazgajstwa?” Na opróżnione w wyniku tej krucjaty miejsce ksiądz Patryk zaproponował własne rzeźby, ale nie znalazły one uznania u jego parafian, którzy uznali je za wysoce gorzące, a zdarzało się nawet, że wywoływały szok u wrażliwych parafianek.

Zdawać by się tedy mogło, że istotnym problemem tej powieści stać się miał konflikt między nową sztuką kościelną a kołtuńskimi nawykami estetycznymi parafian – problem żywo wówczas dyskutowany we Francji, Włoszech, Szwajcarii; u nas nigdy nie przekroczył skali lokalnej, mikroskopijnej wobec absolutnej powodzi szmiry, która zatriumfowała w licznie wznoszonych w drugiej połowie zeszłego wieku świątyń, kaplic i nagrobków. Patryk wycofał się jednak ze swych awangardowych pozycji artystycznych. Zanim nawet komisja diecezjalna zdążyła wypowiedzieć swe zdanie w kwestii sporu estetycznego w parafii Saint Galo, Patryk zwątpił w prawdę artystyczną swych dotychczasowych dokonań, w swoje sukcesy akademickie, a nawet w znacznie łaskawszy odbiór swych prac przez parafian z przedmieścia paryskiego, z którymi to parafianami współpracował uprzednio. Ten konflikt wygasł w tej powieści, uległ stłumieniu zanim się zdołał rozwinąć w pełni – i to za sprawą przyczyn, które wyłożył na kartach powieści sam, zrazu tak nonkonformistycznie usposobiony artysta-rzeźbiarz: „Muszę być chyba głęboko wewnętrznie zwichnięty, skoro wbrew moim pobożnym intencjom dzieło moje gorszy i oburza, zamiast uswięcać i cieszyć” – tymi słowami tłumaczył się przed członkami komisji diecezjalnej, a następnie wycofał swe rzeźby z kościoła, mimo perswazji niektórych członków owej komisji. Ambicje duszpasterskie wzięły w nim górę nad artystycznymi, „poławiacz dusz” zwyciężył i złamał w Patryku artystę, który w gruncie rzeczy nie wierzył w to, by nowe formy sztuki kościelnej przemówiły do parafialnego odbiorcy i który wiedział z własnego duszpasterskiego doświadczenia, iż Kościół najsilniej okopany jest właśnie na pozycjach konserwatywnych, że nadal w głównej mierze opiera swą mocną pozycję na zacofaniu ludzkim.

Po tak stanowczym rozstrzygnięciu ostatniego konfliktu, jaki podejmuje ta powieść, jej końcowe partie ukazały już tylko przypadkowe zdarzenia i sytuacje, i przypadkowy właściwie charakter miała także śmierć księdza Patryka, ucinająca cherlawą akcją powieściową. Ale *Proboszcz z Saint Galo*, przy całym swym artystycznym i intelektualnym niedorozwinięciu, pozostał interesującym przyczynkiem do wiedzy o problemach drążących środowiska katolickie na szczeblu parafialnym zarówno we Francji, jak i w Polsce owego czasu, oraz o częstym w dziejach sztuki problemie klęsk artystycznych – niekiedy niezwykle rozległej skali – zawi-nionych przez presję kościelnej doktryny.

# ŚWIADECTWA

## Nagroda imienia prof. Tadeusza Kotarbińskiego dla *Łodzi Ulissesa*

Przyznawana w Łodzi Nagroda im. Profesora Tadeusza Kotarbińskiego, pierwszego rektora Uniwersytetu Łódzkiego, wybitnego filozofa, patrona Towarzystwa Kultury Świeckiej i pisma *Res Humana*, przypadła w tym roku **Maciejowi Świerkockiemu**, autorowi nowego tłumaczenia na język polski – *Ulissesa* Jamesa Joyce’a i zarazem powstałego potem na kanwie tej długoletniej, iście benedyktyńskiej translatorskiej pracy dzieła zatytułowanego: *Łódź Ulissesa, czyli siedem lat i osiemnaście godzin z Jamesem Joyce’em w Dublinie i nie tylko*.

Dzieła będącego, jak nadzwyczaj skromnie we wstępie pisze Maciej Świerkocki, „krótkim przewodnikiem przeznaczonym dla początkujących, a także osobistym zapisem pracy tłumacza nad przekładem”. Otóż przewodnik ten nie jest wcale krótki (liczy sobie kilkaset stron!), a skorzystać z tej pracy mogą nie tylko „początkujący”, ale i wytrawni translatorzy! Wszystko to bowiem trwało, bagatela, „siedem lat i osiemnaście godzin”, czyli ni mniej, ni więcej tyle, ile trwało pisanie przez Joyce’a tego znaczącego w dziejach literatury światowej i nowatorskiego literacko utworu prozatorskiego – *Ulissesa* (1914–1921). W efekcie powstał rodzaj *translation as memoir* – tłumaczenia jako osobistego pamiętnika-diariusza – zapisu całego tego czasu poświęconego nowemu tłumaczeniu tej wielkiej powieści Joyce’a. Problemów związanych z jej niesłychanie rozbudowanymi i rozlicznymi odniesieniami, aluzjami oraz ich wielorakimi znaczeniami. Odczytaniem przez kolejne pokolenia naukowców, krytyków literackich, badaczy i zwykłych miłośników tej niesłychanie zresztą trudnej w odbiorze czytelniczym, bo także i stylistycznie nadzwyczaj wymagającej i skomplikowanej – prozy Joyce’owskiej! Powstała oto pod piórem Świerkockiego rzecz wręcz niebywała i w literaturze światowej w tej skali rzeczywiście rzadka, mimo przecież istnienia tysięcy dzieł i opracowań naukowych, i krytycznoliterackich sądów, i opinii tej problematyce poświęconych, do których on się zresztą odwołuje, częstokroć polemicznie.

Sam Maciej Świerkocki zapowiada w swym autokomentarzu, iż pragnie przede wszystkim ułatwić czytelnikowi odbiór nowego polskiego tłumaczenia *Ulissesa* – istotnie uzupełniającego ów dawniejszy i znany nam sprzed paru dziesięcioleci przekład Macieja Słomczyńskiego. Czyni to, odwołując się do szerokiego spektrum dotychczasowego odbioru tego prekursorskiego literacko, oryginalnego dzieła, jego poszczególnych, nakładających się na siebie warstw i słoików fabuły oraz do obecnych tutaj tradycji antycznych czy współczesnych znaczeń losów, „przygód” autentycznych i fikcyjnych bohaterów, wydarzeń i poszczególnych epizodów *Ulissesa*. Wraz z całą tą ogromną gmatwaniną psychologicznego zaplecza, historyczno-politycznego tła, obecnych w kontekście całego utworu i po dziś dzień nadal przyciągających nowych tłumaczy, interpretatorów i czytelników na świecie.

I już na koniec tej króciutkiej prezentacji zawartości *Łodzi Ulissesa*, warto oddać głos jej autorowi, dającym nam naprawdę pasjonujący obraz pracy, „potyczek translatorskich” z tradycją i samym sobą, jakie stoczył jako tłumacz i egzegeta z oporną materią w swej

pisarskiej „drodze do Itaki”. Bo zauważa, słusznie, iż wiele z obecnych tu owych diariuszowych zapisków ma „charakter intymny”, osobisty, chociaż też (w większości tych, które głównie służą odśłanianiu owej całej skomplikowanej „przekładowej maszynerii”) – „tłumaczącą się z tłumaczenia” lub pokazującą „meandryczną trasę”, którą podążył autor ku co bardziej „problematycznym albo malowniczym rozwiązaniom”. Książka ta została też laureatką Nagrody „Literatury na Świecie” w roku ubiegłym.  
(J.T.)

## Mirosław CHAŁUBIŃSKI

# Spór o Jana Pawła II

Po śmierci Jana Pawła II (2005 r.) hasło „Santo Subito” (święty natychmiast!) stanowiło dla Watykanu swego rodzaju ponaglenie. Zmarły papież miał zostać szybko kanonizowany – co też odbyło się w trybie przyspieszonym, w 2014 roku. Obecnie hasło to nabrało ironicznego, czy wręcz sarkastycznego znaczenia. Między innymi za sprawą pedofilii wśród księży, a nawet wysokich hierarchów kościelnych.

Na początku marca br. w księgarniach ukazała się książka pt. *Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział* (Wydawnictwo Agora).

Jej autor, Ekke Overbeek, jest dziennikarzem, holenderskim korespondentem kilku niderlandzkich mediów, od prawie dwudziestu lat mieszkającym w Polsce i zajmującym się historią oraz polityką naszego kraju, a zwłaszcza najnowszymi dziejami Kościoła. Książkę tę można uznać za kontynuację jego wcześniejszej o dziesięć lat pracy *Lękajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele*. W porównaniu z poprzednią jest o wiele lepiej informacyjnie udokumentowana, co musiało być efektem solidnej kwerendy źródłowej. *Maxima culpa* prawie natychmiast uzyskała szeroki rozgłos, o czym świadczą wywiady z autorem, recenzje, omówienia, a niekiedy też i polemiki.

Na zainteresowanie książką i żywe reakcje (a można mieć pewność, że jest to dopiero ich początek) silnie wpłynęła sama jej problematyka – sytuacja polskiego Kościoła w ostatnich latach, charyzmatyczna postać Jana Pawła II, klimaty konfliktów politycznych w naszym kraju, w które uwikłany jest polski katolicyzm. Zresztą żywe zainteresowanie tymi sprawami jest typowe dla społecznych reakcji na różne filmy, książki itp. penetrujące tę problematykę – dla przykładu wymienię: film Wojciecha Smarzowskiego *Kler* (2018); produkcje Tomasza i Marka Sekielskich – *Tylko nie mów nikomu* (2019), *Zabawa w chowanego* (2020); Marcina Gutowskiego – *Don Stanisław. Druga twarz kardynała Dziwisza* (2021) oraz A. Nowaka i S. Obirka *Gomora. Pieniądze, władza i strach w polskim kościele* (2021). Wymienione pozycje były wielokrotnie nagradzane i odniosły wielki sukces komercyjny. Ale też wywoływały gwałtowne sprzeciw środowisk prawicowo-konserwatywnych.

\* \* \*

Główną tezę pracy E. Overbeeka można ująć następująco: Karol Wojtyła jeszcze przed objęciem funkcji papieża (1978 r.) podczas wieloletniego kierowania archidiecezją krakowską (1958-1978) wiedział o przestępstwach pedofilskich swoich podwładnych. Z reguły wiedza ta nie prowadziła do ukarania sprawców, lecz przesunięcia ich do innych parafii; zaś ofiary działań pedofilskich zazwyczaj nie były przedmiotem głównych zainteresowań kurii. Liczył się głównie interes instytucji kościelnych, który wymuszał tuszowanie księżej pedofilii. Tak czy inaczej dowodzi to braku odpowiedzialności wobec aktywności duszpasterskiej.

Overbeek jest również przekonany, iż bierności czy opieszałości Jana Pawła II w okresie pontyfikatu (czyli od 1978 r.) w sprawie pedofilii nie można tłumaczyć jego naiwnością, starym zniedołężnieniem, ciężkimi chorobami, z którymi się borykał czy też urazami wyniesionymi z epoki komunizmu. Dotyczy to głośnych spraw H. H. Groëra, założyciela Legionu Chrystusa M. M. Degollado i T. McCarrica. Trzeba jednak zauważyć – a czynią to nawet krytycy Jana Pawła II – iż oczyszczanie kościoła z pedofilów rozpoczęło się w okresie jego pontyfikatu ponieważ w 2001 r. papież podpisał rozporządzenie, zgodnie z którym dokumenty dotyczące wiarygodnych oskarżeń muszą być wysyłane do Watykanu.

Reasumując, według Overbeeka Jan Paweł II działał jak szef instytucji, którą musi chronić, zwłaszcza jej dobrego imienia. Jak to aktualnie widzimy – z nader wątpliwym rezultatem.

Nie ma on też lepszego zdania o działalności papieża Franciszka na tym polu. Jego pontyfikat znaczą zaniechania dotyczące również polskiego katolicyzmu. Wydaje się jednak – moim zdaniem – że opinie Overbeeka są w tym punkcie stanowczo przesadzone.

\* \* \*

Bardzo szeroki oddźwięk wywołał artykuł Adama Michnika, naczelnego redaktora *Gazety Wyborczej*, noszący wymowny tytuł *Jest wielki nawet jeśli pobłądził* (GW, 16–19.02.2023). Przybrał on formę rozbudowanego wywiadu, a w znacznej części polemiki red. Dominiki Wielowieyskiej z tezami autora.

Adam Michnik bronił w swym wywiadzie Jana Pawła II przed pewnymi dość pospolitymi formami krytyki, które redukuje działalność papieża w polityce i jego osiągnięcia do błędów i niedopatrzeń w sferze pedofilii wśród księży. Nie można zapomnieć o jego osiągnięciach czyniących go jedną z najwybitniejszych postaci życia politycznego Polski w XX w. Stanowczo nie można pisać o postaci Jana Pawła II jedynie w kontekście skandali pedofilskich; ale w tej dziedzinie spoczywa na nim ze względu na wybitnie scentralizowaną strukturę władzy w kościele katolickim poważna część odpowiedzialności.

Michnik mocno podkreśla, iż nie można zapominać, że Karol Wojtyła był „dzieckiem swego czasu”. Musiało to kształtować jego mentalność. Zaś walka z pedofilią w kościele rozpoczęła się w szerszym zakresie dopiero w pierwszej połowie 1985 r. w USA. Oprócz tego działała (powszechnie!) obrona dobrego wizerunku instytucji i identyfikacja ze świętą instytucją Kościoła.

Michnik dostrzega – i mocno to akcentuje – liczne dezinformacje oraz manipulacje, z którymi stykał się papież, np. w sprawach J. Paetza czy M. M. Degollado. Nie zawsze też jego współpracownicy (S. Dziwisz, J. Kowalczyk) dostarczali mu rzetelnych informacji.

Michnik nie jest skłonny idealizować Jana Pawła II. Miał on – jego zdaniem – wyraźnie „złą rękę” do nominacji hierarchów (a jest to przecież grupa kluczowa dla funkcjonowania katolickiego kościoła, zważywszy na jego centralizację), zaś jego poczynania w różnych sprawach cechował konserwatyzm.

Całościowa ocena osoby Jana Pawła II, której dokonuje Michnik jest wyraźnie bardzo pozytywna i należy mówić o jego niewątpliwych sukcesach i zasługach, a nawet wielkości.

Wymieńmy więc:

- tonizowanie konfliktów w Polsce w okresie stanu wojennego (i później), co stało się ważnym czynnikiem pokojowej transformacji postkomunistycznej w Polsce. Dodajmy też od siebie, iż wypracowane wówczas rozwiązania tworzyły model „pożegnania” z komunizmem w innych krajach;

- ekumenizm, otwarty stosunek do innych religii. Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który przekroczył próg synagogi i meczetu;

- być może nie byłibyśmy w Unii Europejskiej, gdyby nie przekonał on w krytycznych momentach hierarchów kościelnych w 2003 r. Aleksander Kwaśniewski (przecież współ-

autor integracji Polski z UE) wielokrotnie wypowiadał się o ważnej roli papieża w okresie negocjacji – i nie były to wypowiedzi czysto kurtuazyjnej natury.

Liczne dyskusje na temat całościowej oceny działalności Jana Pawła II to nie tylko spory o pedofilię wśród księży, choć w ostatnim okresie w wielkim stopniu współtworzą one tematykę i temperaturę życia politycznego w Polsce.

Ale działają też inne czynniki.

Kościół instytucjonalny stał się w Polsce po r. 1989 ważnym składnikiem systemu politycznego, ewoluującego od powstającej demokracji w stronę autorytaryzmu. Szczególnie widoczne stało się to po roku 2015, gdy rządy objęła Zjednoczona Prawica. Współcześnie zaś można z uzasadnieniem mówić o rządach *duumwiratu*, składającego się z PiS-u i Kościoła katolickiego.

Mimo materialnego bogactwa można mówić o kryzysie religijności w Polsce i postępującej w naszym kraju laicyzacji w sferze mentalności i praktyk religijnych. Świadczą o tym różne badania społeczne przeprowadzane w ostatnich latach.

W okresie 1992–2022 liczba wierzących spadła z 94% do 84%, a praktykujących z 70% do 42%. Procesy laicyzacji są szczególnie silne w przedziale wieku 18–24. W tej grupie wiekowej znajdziemy najwięcej niewierzących i niepraktykujących. Można mówić o spektakularnym charakterze tych procesów.

Mimo kryzysu religijności w Polsce Kościół pozostaje potężną siłą, dysponującą wpływowymi środkami masowego przekazu. Zaliczmy też do nich ambony.

W Polsce Jan Paweł II – choć jego szczytowa popularność, jak się wydaje, przeminęła – pozostaje dla bardzo licznych „naszym” papieżem i to w dodatku świętym. Dla wielu rodaków jest wciąż najwybitniejszym Polakiem nie tylko w XX wieku, lecz w całej historii Polski.

W tej sytuacji nawet solidne publicystyczne penetracje i studia naukowe ukazujące go od mniej heroicznej strony, np. braku skuteczności w zwalczaniu pedofilii, mogą przez partię stawiającą w rządzeniu na konflikt (a taką bez wątpienia jest PiS) być traktowane jako coś antypolskiego, antykościelnego; a to uzasadnia totalną z nimi walkę. Ten instrument walki politycznej może być skuteczniejszy niż ataki PiS na Niemcy, traktowane jako IV Rzesza. Tym bardziej przy braku sukcesów gospodarczych, drożyznie, inflacji, korupcji itp.

Opozycja powinna pamiętać, iż Jan Paweł II dla znaczącej grupy Polaków jest wciąż *Santo*.

Przykładem rozgrywania sprawy ocen papieża i księżej pedofili w relacji do Jana Pawła II są wydarzenia w Sejmie RP w dniu 9 marca 2023 r.

Dzień wcześniej wyemitowany został w TVN24 reportaż „Franciszkańska 3” dokumentujący w przekonujący sposób, iż Karol Wojtyła wiedział o przypadkach pedofilii w kościele i je tolerował.

Do akcji wkroczyło PiS mówiąc o „kłamliwych zarzutach formułowanych przez PRL-owską SB. Przy wsparciu PSL i Konfederacji przegłosowano uchwałę „O obronie dobrego imienia Świętego Jana Pawła II”.

Do MSZ w sprawie emisji reportażu został wezwany (zaproszony) ambasador USA Mark Brzeziński, bo TVN jest częścią amerykańskiego koncernu medialnego.

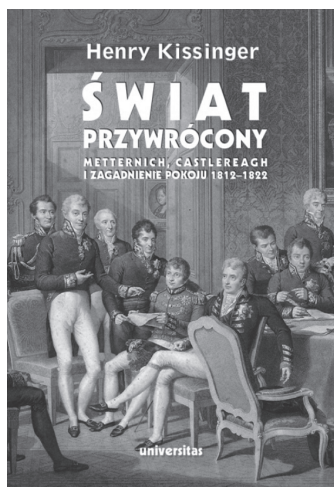
Tak więc PiS akcją obrony Jana Pawła II błyskawicznie włączyło do swojej kampanii wyborczej.

Wynika stąd przestroga, iż postać Jana Pawła II może stać się w wielkiej skali instrumentem walki o władzę w tegorocznej kampanii. Instrumentem wygodnym dla PiS i jego akolitów, m.in. poprzez zwiększoną – nieporównywalnie do ich przeciwników – mobilizację instytucji Kościoła i wierzących.

Andrzej ŻOR

Tak myślę

## Medytacje wokół książki Henry'ego Kissingera *Świat przywrócony. Metternich, Castlereagh i zagadnienie pokoju 1812–1822*



Publikacja jest dysertacją doktorską autora, napisaną w 1954 roku, a opublikowaną w wydaniu książkowym trzy lata później. Teraz, po 65 latach, przyszedł czas na jej pierwsze polskie wydanie. Tekst poprzedzają rozważania tłumacza i wydawcy Jana Sadkiewicza, podkreślające, za Schopenhauerem, rolę historii jako nauczycielki życia. Dzięki niej można „rozumieć terażniejszość i może nawet wyciągać wnioski na przyszłość”. Tyle tylko, że szukanie analogii nie odbywa się wprost. Bodaj najlepiej opisał to Andrzej Leder: „Kondycja istoty istniejącej w czasie zakłada zdolność napotykania w chwili terażniejszej tych konsekwencji przeszłych aktów, które nadchodzą z przyszłości”<sup>1</sup>. Czynnikiem, za pomocą którego te procesy się odbywają, czynnikiem pośredniczącym jest „świadomość kulturalna” – pojęcie wprowadzone do obiegu intelektualnego przez Stanisława Brzozowskiego w początkach dwudziestego już wieku – a to,

najogólniej mówiąc zbiór idei, poglądów, wierzeń, wyobrażeń, mitów itd. decydujących o postawach i zachowaniach danej zbiorowości. To ona jest filtrem, przez który przechodzi historia i jej współczesne rozumienie, by sprostać temu, co publicyści określają jako przyszłe wyzwanie. Takim wyzwaniem jest z pewnością zagadnienie trwałości pokoju światowego, bo właściwie temu zagadnieniu poświęcona jest książka Kissingera, napisana rok po „remisowej” wojnie koreańskiej i tuż przed rozpoczęciem traumatycznej dla Amerykanów (nie tylko naukowców i dyplomatów) wojny wietnamskiej. A dziś, gdy mija rok od agresji Rosji na Ukrainę, jest ono podwójnie aktualne.

Ustanowieniu trwałego pokoju w dziewiętnastowiecznej Europie (ale Europa to wówczas świat) służył kongres wiedeński (1814–15) i cykl organizowanych po nim konferencji na temat porządku światowego. Kongres nie zapisał się dobrze w pamięci Polaków. Klęska Napoleona, z którym wiązali bezzasadnie swoje nadzieje, skierowała ich uwagę w stronę Rosji i cara Aleksandra I, który składał technące otuchą obietnice. Gdy Aleksander i jego następcą Mikołaj I zmienili przychylny wektor swoich koncepcji, Polacy sięgnęli po złudny oręż powstań narodo-

wych i szukali wsparcia dla nich wśród europejskich polityków. Kissinger kończy swoje rozważania w roku 1822, grubo przed wybuchem powstania listopadowego, kiedy jeszcze nie wygasły w umysłach nadzieje, że Aleksander w swojej łaskawości odbuduje znaczącą część Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale kilka lat później, kiedy margrabia Wielopolski, jako wysłannik powstańczego rządu narodowego próbował namówić Brytyjczyków do poparcia polskich dążeń niepodległościowych, usłyszał od Palmerstona (ministra spraw zagranicznych), że to Polacy pogwałcili traktat wiedeński i porządek europejski, i niczego (pieniędzy ani wsparcia dyplomatycznego) nie dostaną. Przebieg kongresu jest wcześniejszym, lecz równie smutnym potwierdzeniem tej konstatacji. Polska nie brała udziału w wiedeńskich obradach (to jasne), była natomiast przedmiotem sporu, tyle tylko, że nie jako podmiot wydarzeń, lecz jako materia do podziału według klucza proporcji: Rosja nie mogła dostać za dużo, bo zakłócałoby to europejską równowagę. Polskę należy podzielić tak, by równowagi nie naruszyć, więc Prusy i Austria musiały dostać swoje. Do niedawna największe – poza Rosją – państwo Europy stało się towarem handlowym, i ten smutny wniosek powinniśmy wyciągnąć z lekcji historii, a nie łudzić się powtarzaniem, że i tak powstania budziły polskiego ducha, bo wnioski dla przyszłości z takiego rozumowania mogą być tylko błędne. Adam Jerzy Czartoryski uczestniczył wprawdzie w kongresie, ale żadnej roli nie odegrał, zajął się więc (odrodzenie uczuć) namawianiem żony Aleksandra, Elżbiety, by się z carem rozwiodła i związała z nim. Dobre piętnaście lat wcześniej mieli oni romans, którego owocem była córka, zmarła dostatecznie wcześnie, by nie zakłócić harmonii rodziny cesarskiej, a zresztą Aleksander przymykał na romanse żony (nie było ich zresztą wiele) oko, zajęty swoimi licznymi miłostkami. Ponieważ Elżbieta nie dała się namówić na zamianę tronu w Petersburgu na świątynię Sybilli w Puławach, ich romans przeszedł ostatecznie do historii.

Obrady wiedeńskie, nazywane „tańczącym kongresem”: były pełne erotycznych ekscesów. Simon Sebag Montefiore tak go opisał. „[...] Kongres był bodaj najbardziej rozpasaną imprezą międzynarodową w historii. Wzięło w nim udział dwóch cesarzy, pięciu królów, 209 panujących książąt, około 20 000 oficjeli od marszałków i ministrów do urzędników i szpiegów, a także chyba wszyscy szalibierze, oszuści, naciągaczkę i prostytutki z Europy, w sumie jakieś sto tysięcy ludzi. Bawili się na niezliczonych balach i bankietach, targowali się, szantażowali, cudzołożyli i prowadzili pertraktacje, aby nadać nowy kształt kontynentowi, który miał za sobą ponad dwadzieścia lat ciągłych wojen”<sup>2</sup>. Rej wodzili Aleksander i Metternich, a ich alkowy nazywane były „obozem rosyjskim” i „obozem austriackim”. Metternich (w Polsce postrzegany jako konserwatywny asceta) przywiózł ze sobą Wilhelminę Żagańską, która „swoją rozwiązłością doprowadzała Metternicha do rozpacz. Grzeszy siedem razy dziennie [...] i kocha się tak często, jak inni jadają”<sup>3</sup>. Aleksander miał liczniejszego fraucymer, przywiózł nie tylko żonę i swoją stałą kochankę Marię Naryszkinę (notabene córkę polskiego arystokraty Antoniego Czetwertyńskiego – targowiczankę powieszoną w 1794 roku podczas rozruchów warszawskich), ale także księżnę Zinaidę Wołkońską i Katię Bagration – siostrzenicę i była kochankę Potiomkina oraz wdowę po bohaterze bitwy pod Borodino. Katia („Biała Kicia”, jak ją nazywano) uwiodła Metternicha – miała z nim córkę. A Aleksander zakrzętnął się wokół Wilhelminy. Podobno w anonimowym liście zaproponował Metternichowi „100 000 funtów i odzyskanie względów Wilhelminy w zamian za Polskę”<sup>4</sup>. To jednak anegdota, choć dla Polaków smutna. Kongres był ich pełen, ale dość póki co, bo można by tak nieskończenie.

Aleksander był nastawiony na podbój – i erotyczny, i polityczny. Jego kontrpartnerzy – Metternich, Castlereagh i Talleyrand – debatowali jednak na temat trwałości pokoju. Możliwe do osiągnięcia efekty wiązali z manipulacjami dyplomatycznymi. Mistrzowskim posunięciem było dopuszczenie Francji do spuścizny po Napoleonie. Udział pięciu partnerów (Anglia, Rosja, Austria, Prusy i Francja) czynił podział ziem i stref wpływów mniej kontrowersyjnym. To jednak rozwiązanie doraźne, trzeba natomiast zapewnić trwałość przygotowanemu porządkowi. Jedną z przyjętych metod było organizowanie częstych spotkań uczestników wiedeńskiej ugody, a więc stworzenie forum do dyskusowania i uzgadniania wspólnego (na tyle, na ile się da) stanowiska, by zapobiec niespodziewanemu wybuchowi działań wojennych. Można doszukiwać się w tym początków wspólnej Europy i – być może – Kissinger miał to na myśli, przywołując doświadczenie wiedeńskiego kongresu i następujących po nim spotkań – kongresów w Akwizgranie, Cieplicach, Karlsbadzie, Opawie, Lublanie. Tam (i już wtedy) pojawiła się idea jedności Europy i wspólnego europejskiego rządu. Duże znaczenie dla realizacji idei wspólnoty miała postawa Wielkiej Brytanii i jej dążenie do uczestnictwa w tej wspólnotcie. Dopóki żył Castlereagh, udawało się to zapewnić. Miał on jednak przeciwników we własnym rządzie. Większość brytyjskich polityków uważała, że Kanał La Manche stanowi wystarczającą gwarancję bezpieczeństwa, oddzielając Brytanię od kontynentu. Interes Brytanii leży w zapewnieniu przewagi na morzu, jeśli ta nie jest zagrożona, Wyspa nie ma żadnego interesu, by mieszać się do spraw kontynentu i narażać na konflikty, które nic jej nie obchodzą. EkspONENTEM tego stanowiska był następca Castlereagha na fotelu ministra spraw zagranicznych – George Canning. Pojedynkowali się nawet na pistolety i zamieniali rolami, ale w kongresie wiedeńskim uczestniczył Castlereagh i jego udział w stworzeniu porządku europejskiego był bezsporny. W początkach lat 20. zaczął jednak zdradzać objawy paranoi, choroba rozwijała się i w sierpniu 1822 roku Castlereagh poderżnął sobie gardło brzytwą<sup>5</sup>; zmarł w wieku 53 lat, a więc stosunkowo młodo, jak na brytyjskiego polityka. Spór wśród wpływowych postaci brytyjskiej sceny o kształt polityki brytyjskiej toczy się – jak widać – nieprzerwanie już około 200 lat i znów – jak po śmierci Castlereagha – doszły do głosu siły antyintegracyjne; dysputa ta nie ma końca i zapewne przyniesie kolejny obrót wydarzeń.

Na ogół wśród historyków dominuje przekonanie o trwałości ustaleń kongresu wiedeńskiego i kongresów „pochodnych” – na sto lat – tak uważano. Taki optymizm nie wydaje się do końca uzasadniony. Nie da się wejść do tej samej rzeki. Rewolucja francuska (jej krwawe apogeum przypadło na 1793 rok) i panowanie Napoleona przyniosły konsekwencje, których nie dało się – i dobrze – zmazać w wyniku restauracji Burbonów. W czerwcu 1814 roku Ludwik XVIII ogłosił swoją kartę konstytucyjną. Wprawdzie suwerenem pozostawał król, a nie naród, ale karta była stosunkowo liberalna, gwarantowała wolność indywidualną, wolność prasy, religii, nienaruszalność własności. Parlament był dwuizbowy, czynne prawo wyborcze przysługiwało 100 000 Francuzów. Tak jak Aleksander nie stosował represji wobec Polaków, którzy opowiedzieli się za Napoleonem, tak Ludwik nie dokonał rozliczeń z kadrą urzędników i wojskowych. Wprawdzie „100 dni Napoleona” spowodowało zaostrzenie kursu (wtedy też rozpoczęto procesy i karano wyrokami śmierci byłych stronników Napoleona, m.in. marszałka Ney, do głosu doszła też reakcja katolicka), ale w sumie kraj wyszedł oborną ręką z rewolucyjnego i napoleońskiego zamętu. W 1823 roku Francja zainicjowała interwencję wojskową w Hiszpanii, co świadczyłoby o odzyskaniu realnego miejsca w „koncercie mocarstw”.<sup>6</sup> Pędu ku demokracji nie dało się jed-



nak zatrzymać; w 1848 roku wybuchła Wiosna Ludów i wtedy Metternich zakończył swoją karierę, żył wprawdzie jeszcze ponad 10 lat, ale żadnej roli na europejskiej niwie już nie odegrał. Z zapewnieniem trwałego pokoju też było różnie. W 1866 roku Prusy wygrały wojnę z Austrią, w 1870 z Francją, i trwały pokój na kontynencie okazał się fikcją. Jego gwarancją było bowiem doprowadzenie – w wyniku zabiegów dyplomatycznych – do sytuacji, w której żaden z narodów nie czułby się upokorzony. Kissinger pisał tak: [...] Rozstrzygnięcie międzynarodowe, które jest akceptowane, a nie narzucone, zawsze będzie się wydawało każdej z jego stron **w pewnym stopniu** krzywdzące. Paradoksalnie to powszechność tego niezadowolenia jest warunkiem stabilności, ponieważ jeżeli którekolwiek mocarstwo byłoby **w pełni** usatysfakcjonowane, wszystkie pozostałe musiałyby być całkowicie nieusatysfakcjonowane, co prowokowałoby sytuację rewolucyjną. [...]. Stabilność porządku nie jest wyrazem braku niezaspokojonych roszczeń, ale braku pretensji o takiej skali, by zadośćuczynienia szukano raczej w wywróceniu układu niż poprzez korekty w jego ramach. [...]. Porządek, którego strukturę jedno z mocarstw uważa za opresyjną, jest rewolucyjny”<sup>7</sup> (podkreślenia autora). W roku 1871 upokorzona została Francja i jej chęć odwetu stała się jedną z przyczyn wybuchu I wojny światowej (o innych powodach nie piszę, bo zabrakłoby tu miejsca). W roku 1918 upokorzone zostały Niemcy (i Włochy) i sytuacja się powtórzyła ze zwielokrotnionymi konsekwencjami (ofiary I wojny to plus minus 12 milionów ludzi, II wojny to ponad 60 milionów).

Kiedy próbujemy zatem nadać historii znamiona „nauczycielki życia”, musimy uświadomić sobie, co oznacza istnienie sytuacji upokorzenia i brak jej akceptacji, a przynajmniej zrozumienia. Dlatego wspominałem na początku tych wywodów Brzozowskiego i jego kategorię „świadomości kulturalnej” (może dziś lepiej byłoby nazwać ją „świadomością kulturową”), że to właśnie w zbiorowej świadomości narodów jest ono długo przechowywane, z arcygroźnymi następstwami. Postawienie Rosji w stan upokorzenia jest bez wątpienia zaistnieniem takiej sytuacji. Wojnę łatwo wywołać, trudno ją jednak zakończyć i choć Rosja jest odpowiedzialna za jej wywołanie, to konsekwencje jej upokorzenia, a to zdaje się być dziś celem demokratycznego świata, mają o wiele poważniejsze skutki. Tym, którzy są dumni, że prezydent Biden raczył po raz drugi przyjechać do Polski w ciągu jednego roku i że zdobył się na heroiczny gest odwiedzenia Ukrainy wypada zwrócić uwagę, że nie zarysował on w Warszawie choćby szkieletu propozycji wyjścia z sytuacji, w którą wpędziła ją Rosja, ale którą Zachód przyjął, nie doprowadzając (może nie było sposobu, by Rosję powstrzymać?) do negocjacji na wzór kongresu wiedeńskiego. Może zabrakło polityków na miarę Metternicha, Talleyranda i Castlereagha? A Rosja to jedna szóstą kuli ziemskiej (dziś może trochę mniej, ale mnie tak uczono) i ponad 140 milionów ludzi. To nie jej upokorzenie poprzez zwycięstwo Ukrainy i NATO (eksponowane, niestety, w propagandzie), lecz znalezienie klucza, według którego wszyscy uczestnicy dramatu muszą się trochę posunąć, by stworzyć przestrzeń dla trwałego pokoju (choćby na tyle lat, które dzieliły kongres wiedeński od wybuchu światowego konfliktu), powinno być celem współczesnej polityki.

Zbytnią wiarą w sprawczą moc historii ma jednak pewną wadę. Świat kunsztownej dyplomacji początków XIX stulecia należy do przeszłości. Każdy z europejskich narodów tamtej epoki miał swoje racje i swoją „kulturową świadomość”, ale mieściły się one w ramach świadomości europejskiej. Inne, występujące w odległych centrach różnych kultur, nie były znane, nie wpływały zresztą na losy świata w globalnym wymiarze. Dziś takich ośrodków generowania swoich stanowisk,

racji kulturowych, a zatem i politycznych jest znacznie więcej. Tym trudniej, bo trzeba rozmawiać z wieloma partnerami i starać się rozumieć ich odmienne sposoby pojmowania świata i odmienne języki ich argumentacji, w miejsce przekonania o własnej nieomyślności i doskonałości. I tyle wynika z moich medytacji nad doktorską dysertacją – zdaje się stuletniego już – Henry’ego Kissingera. Jego zdumiewająca żywotność budzi podziw – w grudniu 2022 roku zaproponował negocjacje na temat pokoju na Ukrainie, ale potem zmienił zdanie. Materia nie jest łatwa, jak widać.

### Przypisy

<sup>1</sup> A. Leder, *Był kiedyś postmodernizm*, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2018, s. 63.

<sup>2</sup> S.S. Montefiore, *Romanowowie*, Bellona, Warszawa 2020–2022, s. 364.

<sup>3</sup> *ibidem*.

<sup>4</sup> Montefiore, *op. cit.* s. 367.

<sup>5</sup> Wikipedia, hasło Robert Stewart (wicehrabia Castlereagh).

<sup>6</sup> Por. A. Hall, *Francja i wielcy Francuzi*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2007, ss. 611–620.

<sup>7</sup> H. Kissinger s. 210.

Krzywym okiem

Daniel SAMOTUS ZBYTEK

# O niemieckiej (i polskiej) szlachcie Rosji

Wizyta Joe Bidena na Ukrainie, spotkanie z Prezydentem Zełenskim na Ukrainie (wolę polską wersję „na” niż nowomowę z „w”, mówimy przecież na Litwie, na Białorusi, na Słowacji lub na Śląsku, na Mazowszu – od wieków każdy bliski nam kraj, region na to zasługuje), to nie tylko ważne wydarzenie polityczne, ale też możliwość obserwacji, jak wizyta ta jest konstruowana „pod publiczność”. Wyjące syreny przeciwlotnicze w Kijowie to prezent, raczej uzgodniony, obrazu dzielnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który dla obrony światowej demokracji pojechał na drugi koniec świata z Waszyngtonu, do kraju w stanie wojny z faszystowskim agresorem, aby pokazać bandziorom z Kremla swoją odwagę, ale przede wszystkim obywatelom USA, swoim wyborcom, że mają odważnego prezydenta, na którym mogą polegać. Propaganda przedwyborcza musi trafić do masowego odbiorcy, to on decyduje, kto będzie nową głową państwa. Manipulacja jest dogodnym narzędziem w kształtowaniu nastrojów obywateli, którzy muszą otrzymać odpowiednie przesłanie, aby ich zadowolić. To decyduje o wyniku kolejnej elekcji. No cóż, większość ludzi ogląda TV i jest ona dla nich podstawowym źródłem informacji, obok filmidełek o życiu aktualnych celebrytów lub wydumanej krwawej walki o tron, fajnych makabrycznych Wikingów i innych tego typu bezmyślnych form spędzania czasu na kanapie.

Rzeczy nam znane i oczywiste, niemniej wizyta Bidena pokazuje światu, że głównym rozgrywającym w światowej polityce są dalej Stany Zjednoczone Ameryki. Mają potężną, innowacyjną gospodarkę, a penetracja amerykańskiego kapitału we wszystkich krajach świata jest oczywista, mimo nadziei krajów, które

marzyły o dorównaniu Jankesom, jak Chiny (samodzielnie) lub Rosja, dążąca do odrodzenia imperium, co prawda jako przyboczna pekińskich wodzów. O upadku USA marzyło się także starym, ekskolonialnym państwom Zachodniej Europy – przede wszystkim Francji, ale i Wielkiej Brytanii, i po cichu także Niemcom. Agresja Rosji na Ukrainę ukazała właściwy porządek rzeczy w globalnej polityce XXI wieku. Francja opuszcza dziś swoje byłe kolonie afrykańskie, niezdolna pokonać band rosyjskich gangsterów, tzw. wagnerowców, a Wielka Brytania wysłała swój jedyny lotniskowiec, o napędzie konwencjonalnym, ale o dużych zdolnościach pozyskiwania wszelkich możliwych usterek, na Daleki Wschód. Niemcy, które miały nadzieję być nowym europejskim rozgrywającym w oparciu o dostawy tanich surowców z Rosji, skompromitowały się w swoich relacjach z sojusznikami. Ich monopol na produkowane uzbrojenie podważył wszelką polityczną wiarygodność Niemiec jako sojusznika wobec moskiewskiego zagrożenia. Handlowo to też beznadziejne marketingowo posunięcie – po co komu Leopardy, jeśli o ich użyciu ma decydować ktoś, kto ma inne interesy, albo sądzi, że je ma? Niemcom też się marzy powrót do przeszłości.

Niemcy od czasów Piotra I do czasów Stalina odgrywały istotną rolę w Rosji. Piotr I najpierw importował Niemców z polskiej Kurlandii (tj. Łotwy i części Estonii) plus niepiśmienną żonę, chłopkę, tzw. markietankę, którą mianował cesarzową Katarzyną I, a potem z ówczesnej Rzeszy rozlicznych państweczek. To oni, Bironowie, Ostermanowie, Munichowie itd. aż po nazistę Rosenberga (z Rygi, który zawiśł w Norymberdze) decydowali o polityce Sankt Petersburga. Dowodzili jej armią, formowali prawa, kształtowali edukację i obsadzali najważniejsze urzędy. 35% dziedzicznej szlachty Rosji od końca XVIII wieku to byli Niemcy. Kolejna grupa to szlachta Rzeczypospolitej, polskojęzyczna i katolicka, stanowiąca 25% imperialnej szlachty, mająca majątki na Ukrainie i na Białorusi. Obok Niemców oraz pozostałej szlachty, także głównie nierosyjskiego pochodzenia, była warstwą wspierającą carat ze wszelkich sił. Odmienne relacje z caratem miała etnicznie polska szlachta tzw. kadłubowego Królestwa Polskiego, w przeciwieństwie do większości kresowiaków dążąca do niepodległości swojego państwa. Tylko ok. 4% rosyjskiej szlachty miało rodowite, tj. rosyjskie lub tatarsko-mongolskie pochodzenie. Wpływy niemieckie osiągnęły apogeum za panowania nowej, nierosyjskiej dynastii Holstein Gottorp panującej od 1762. Mało znany jest fakt, że po rozgromieniu armii pruskiej w wojnie siedmioletniej (lata 1756–1763), Prusy uległy likwidacji – całe, nie tylko Książęce z Królewcem, ale i Brandenburgia z Berlinem. Włączone zostały, jako integralna część do Imperium Rosji, a w Królewcu urzędował rosyjski gubernator, całe cztery lata. Nastąpił jednak, jak to nazywał Fryderyk Wielki „cud domu brandenburskiego”. Cesarzowa Rosji Elżbieta, córka Piotra (ostatnia z Romanowów, niemiecka dynastia dodała „Romanow” do swojego nazwiska jako swoistą dekorację, choć ze znajomością języka poddanych często było dość marnie) odeszła z tego świata gwałtownie i we właściwym czasie, a jej siostrzeniec, rodowity Niemiec, miłośnik Fryca, Prus, ale też nowy rosyjski cesarz Piotr III Karl Ulrich von Holstein Gottorp, oddał Prusy i Brandenburgię Fryderykowi Wielkiemu i jeszcze dołożył Śląsk, kosztem zaprzyjaźnionej Austrii (jeszcze bez dodatku węgierskiego).

To były czasy dobre dla niemieckiej arystokracji, ale „to se ne vrati”, jak mawiał słynny czeski myśliciel Hrabanek, przyjaciel dzielnego wojaka Szejwka. I to by było na tyle (i to też cytaty), ale marzeń naszych sąsiadów to nie zakłóci.

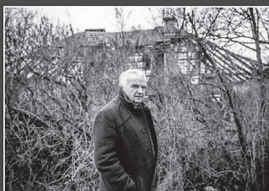
# WŚRÓD KSIĄŻEK

Wiesław ŁUKA

*Ku pokrzepieniu – sztuki piękne*,  
Biblioteka „Res Humana”, War-  
szawa 2023, 162 strony.

Wiesław Łuka

**Ku pokrzepieniu –  
sztuki piękne**



Biblioteka „RES HUMANA”  
Warszawa 2023

## Sztuki piękne

Wiesław Łuka jest znanym i cenionym reportażyście, w przeszłości dziennikarzem poczytnych czasopism takich jak *Prawo i Życie* czy *Sztandar Młodych*. Najbardziej znany z jego dorobku był reportaż *Nie oświadczam się* – relacja dotycząca zbrodni w Połańcu, gdzie całą wieś dotknęła zмова milczenia. Na jej podstawie Janusz Petelski nakręcił film dokumentalny, nagrodzony przez TVP. Kiedy wiek nie pozwalał już autorowi czynnie pełnić powinności reporterskich, zajął się pisaniem nie tylko o sztuce reportażu, ale także o innych gatunkach artystycznych. Wydał w sumie blisko 20 książek. W większości z ostatnio publikowanych ujawnia swoje artystyczne sympatie. Należą do nich: poezja, a spośród poetyckich luminarzy Norwid, muzyka – tu przede wszystkim Chopin i Beethoven, malarstwo (Brandt, Kossak, Boznańska), film (sam był scenarzystą filmowym). Wykłada dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, a jego zajęcia cieszą się dużą popularnością. Różnym gatunkom sztuk pięknych poświęcił swoją ostatnią książkę: *Ku pokrzepieniu*

*– sztuki piękne*, wydaną przez oficynę wydawniczą *Res Humana*. Choć nie biega już z mikrofonem i aparatem fotograficznym (lata robią swoje), i nie pisze reportaży z bieżących obserwacji, to jednak wykorzystuje techniki tego gatunku. W omawianej książce niewiele można znaleźć z odautorskiego wykładu, prawdy o różnych dziedzinach sztuki wkłada w usta swoich bohaterów, a są nimi wybitni przedstawiciele tych dziedzin, z którymi przeprowadza wywiady, albo wykorzystuje fragmenty ich wypowiedzi. A są to między innymi: polonista, wybitny znawca twórczości Norwida – profesor Wiesław Rzońca z UW (ale nie zapomina również o odkrywca Norwida – Wiktorze i Juliuszu Wiktorze Gomulickich, którzy obok Miriama – Zenona Przesmyckiego udostępnili krajowej i zagranicznej publiczności dorobek twórczy Wieszcza), profesorowie Akademii Sztuk Pięknych – Błażej Ostoja Lniński i Adam Myjak, profesorowie Akademii Muzycznej w Warszawie – Stanisław Moryto, Klaudiusz Baran i Piotr Paleczny, wiedzy o teatrze – tu Paweł Płoski i Wojciech Malajkat. Ale we wspomnieniach pojawiają się także osoby twórców Akademii Teatralnej w Warszawie, przede wszystkim Aleksander Zelwerowicz. Rozmawia też ze swoimi kolegami i przyjaciółmi, w tym filmowcem Maciejem Kowalewskim i wieloma innymi. Nie zapomina o swoich nauczycielach i wychowawcach, a jego szczególną estymą cieszy się polonistka z liceum w Siedlcach, które ukończył – Natalia Zbucka, wspomina ją w wielu swoich książkach, choć nie szczędziła mu uszczypliwych uwag. I tak ciągnie swoją opowieść o własnych fascynacjach i sympatiach, a wśród tych, których wspomina często, pojawiają się też postacie nowe, jak choćby Marek Wawrzkiwicz – poeta i prezes Związku Literatów Polskich, którego Autor jest członkiem, czy przyjaciele z lat młodości, których wspomina, jak Nina Osiakówna czy Maria Krasowska. Można

podziwiać interdyscyplinarną wiedzę autora i biegłość, z jaką porusza się po wielu różnych dziedzinach sztuki oraz sprawność w operowaniu słowem.

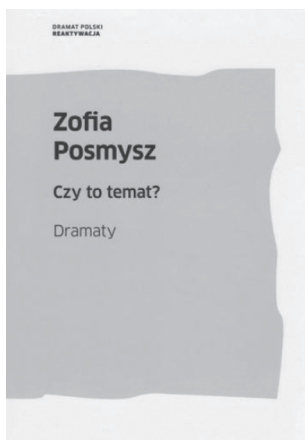
Autor kończy swoją książkę uwagami na temat reportażu jako gatunku literackiego, cytując mistrzów literatury faktu. Są to cytaty z wywiadów, jakie przeprowadził z nimi: „Im więcej człowiek wie o świecie, tym bardziej powinien się dziwić” (Remigiusz Grzela); „Nie potrafię pisać z czapy, muszę najpierw coś zobaczyć, usłyszeć, obwąchać, by o tym napisać” (Hugo Bader); „Żyję życiem moich bohaterów” (Hanna Krall); „Nie warto okładać cepami swoich rozmówców” (Konrad Piasecki); „Mam pociąg do tematów o patologiach – często tak zwana gra wstępna trwa dłużej niż sama dokumentacja tematu i pisanie tekstu” (Barbara Pietkiewicz); „Warto odróżniać prawdę od prawdy zmyślonej” (Wojciech Tochman); „Nie nudzić, nie krzywdzić, nie kłamać” (Mariusz Szczygieł). Święte słowa! A skoro autor je przytacza, oznacza to, że potwierdza ich znaczenie” swojej twórczości i swojego pisarskiego credo. Że uznaje za swoje.

Skoro nachwaliłem się książki „po kokardę”, muszę dołożyć trochę dziegiu do tej beczki miodu. Łuka sięga bowiem do historii i tu jego wybory skłaniają trochę do zastanawiającej refleksji. Przypomnienie polskich kronikarzy, Galla Anonima, Kadłubka czy Długosza nie budzi wątpliwości, bo ich zasługi dla literatury i historii są bezsporne, natomiast obdarzenie Adama Jerzego Czartoryskiego mianem jednego z najwybitniejszych Polaków w historii budzi mój sprzeciw. Łuka pisze: „W opiniach chyba wszystkich biografów Adam Jerzy Czartoryski uchodzi do dziś za najbardziej znaną, docenioną polską osobistość nie tylko ostatnich dwóch wieków, ale nawet ponad tysiącletniej historii. Tak uważam. Tak wygląda na jednym z ostatnich obrazów w towarzystwie dwóch dorodnych synów. Odważę się jednak zauważyć, że w ostatnich dziesięcioleciach „dobili” do niego jako wielcy: Jan Paweł II i Lech Wałęsa” (s. 107). A sprzeciw budzi nie dlatego, że był synem Mikołaja Repnina – ambasadora Katarzyny II w Polsce i pogromcy konfederacji barskiej. To, że Izabela z Flemmingów była romansową damą i że prawdopodobnie żadne z jej dzieci nie pochodziło z legalnego związku z Adamem Kazimierzem Czartoryskim, to sprawy rodziny i nie trzeba w nie wnikać. Takie to były czasy. Związki małżeńskie służyły powiększeniu majątku i wzmocnieniu pozycji rodu, a nie miłosnym igraszkom. Jego wybory polityczne trzeba w większości uznać za wątpliwe, choć można je usprawiedliwiać okolicznościami, w jakich znalazła się Rzeczpospolita, a potem Królestwo Polskie za czasów Aleksandra I. Ale ideologii obozu konserwatywnego, znanego jako Hotel Lambert na paryskiej emigracji cenić nie jestem już skłonny. A nade wszystko hasło Czartoryskiego dotyczące odrodzenia państwa: „Najpierw być, a potem jak być” narobiło sporo zamieszania w polskich głowach. Do tego stopnia, że nawet Słowacki napisał złośliwy wiersz, z którego pochodzi cytowany fragment: „Szli krzycząc: Polska! Polska! – wtem jednego razu/Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu/Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna/Szli dalej krzycząc: Boże! Ojczyzna! Ojczyzna!/Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka/Spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaka?”. Brak określenia cech konstytutywnych państwa, co więcej – uznanie, że określać ich nie potrzeba, bo „jakoś to będzie”, stał się zapewne jedną z przyczyn ideologicznego i moralnego zamętu, jaki towarzyszy polskim dziejom przez blisko 200 już lat. Że Adam Jerzy był ważnym politykiem tamtego czasu, to prawda, ale przypisywanie mu cech męża opatrnościowego, nie – dalibóg, nie wypada. I tak przeszłość znów namieszała w naszych głowach, a szkoda.

**Andrzej ŻOR**

## Zofia POSMYSZ

*Czy to temat?* Dramaty, Wybór i wstęp Anna R. Burzyńska, oprac. tekstów Anna Dżabagina, Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa 2020, 427 stron.



## Jeszcze słówko o Zofii Posmysz (1923–2022)

Zmarła w sierpniu 2022 r. (dwa tygodnie przed ukończeniem 99 lat) Zofia Posmysz była autorką wielu wybitnych i popularnych utworów, przede wszystkim pisanych prozą, jak słynna i znana z adaptacji filmowej **Andrzeja Munka** oraz wersji operowej wystawianej na wielu scenach świata – *Pasażerka* (1962) czy też powieść *Wakacje nad Adriatykiem* (1970)... Autorka była także znana, o czym dziś mniej się pamięta, jako twórczyni znakomitych słuchowisk radiowych.

## Słuchowiska do czytania

Jak wiadomo, słuchowisko radiowe jest stosunkowo nowym gatunkiem artystyczno-literackim. Rodziły się one bowiem i dojrzewały wraz z rozwojem audio techniki radiowej. Od początku odznaczały się też z tego powodu swoistą gatunkową odrębnością. Ich literackie teksty-zapisy były i są przede wszystkim materiałem wyjściowym, niczym kompozytorskie partytury dla dyrygenta w procesie tworzenia ostatecznego kształt utworu muzycznego. Z tego połączenia słowa (za)pisanego i dźwięku(ów), emitowanych na falach radiowych, powstaje w efekcie coś jakościowo quasi-nowego. Czy słuchowiska radiowe są zatem adresowane li-tylko do słuchacza radia i przeznaczone wyłącznie dla niego?

Otóż okazało się, i wiadomo to od dość dawna zresztą, bo już od przedwojnia, że nie tylko. Już w latach 30. XX w. ukazywały się drukiem i zdobywały wielką popularność czytelniczą drukowane „opowieści radiowe” – seriale słuchowiskowe Marii Kuncewiczowej – *Dni powszednie państwa Kowalskich*. Kto wie, czy nie była to jedna z przyczyn oraz podnieć dla wielkiego u nas rozkwitu i popularności słuchowisk radiowych po wojnie. Szczególnie w latach 60. i 70. XX w., gdy powstawało w Polsce około 600 słuchowisk rocznie! Wiele z nich było publikowanych, a to na łamach miesięcznika *Dialog* czy w innych czasopismach literackich (były takie, były!), a to w osobnych wydaniach książkowych. I nie dziwota, bo pisywali je między innymi tak wybitni prozaicy i poeci jak: Stanisław Grochowiak, Zbigniew Herbert, Tymoteusz Karpowicz, Włodzimierz Odojewski, Janusz Krasiński, Władysław Terlecki, Jerzy Krzysztoń, Jarosław Abramow czy Henryk Bardijewski. Występowali w nich najwybitniejsi polscy aktorzy pod batutą najlepszych w tej gildii reżyserów... Kto ciekaw, niech łaskawie sięgnie po bogatą literaturę przedmiotu.

A znajdzie ją między innymi i w tej wielce interesującej księdze-antologii słuchowisk radiowych Zofii Posmysz. Autorki kojarzonej z prozą – świadectwem wojennego i obozowego doświadczenia samej pisarki (rocznik 1923, więźniarka Auschwitz, potem dziennikarka radiowa) oraz całego pokolenia twórców jej współczesnych. Autorki wiązanej w potocznym odbiorze z takimi prozatorskimi tytułami, jak wspomniane wyżej powieści *Pasażerka* czy *Wakacje nad Adriatykiem*, gdzie trauma przeszłości istotnie znajdują swój pełny, znaczeniowo ważny, oryginalny i wyrazisty literacko kształt, jak i pozostające na uboczu niejako, jej ważne powieści i opowiadania o tematyce współczesnej, społecznej, obyczajowo-psychologicznej. To z tym właśnie nurtem jej dorobku związane

są głównie (choć nie wyłącznie przecież) mniej znane słuchowiska radiowe...

Te radiowe dramaty powstające na przestrzeni paru dziesięcioleci, a ukazujące się teraz w znaczej mierze drukiem po raz pierwszy, różnią się oczywiście od siebie bardzo, tematycznie i kompozycyjnie. Powstawały one początkowo na marginesie reporterskiej pracy Zofii Posmysz w Polskim Radiu, jej wyjazdów służbowych w tzw. teren dla zbierania materiałów, często też śladem listów od słuchaczy proszących o interwencję czy pomoc w rozwiązywaniu lokalnych problemów czy konfliktów. Czasami, niektóre z tych słuchowisk powstawały i wyrastały jako nowe wersje wcześniejszych jej utworów prozatorskich, lub odwrotnie, jak najgłośniejszy z nich – *Pasażerka* (znana też potem z wersji filmowej Andrzeja Munka oraz libretta operowego Jurija Łukina i Aleksandra Miedwiediewa, z muzyką Mieczysława Weinberga; miała liczne wystawienia ostatnimi laty w wielu krajach świata).

Wśród dwunastki „dramatów radiowych” Zofii Posmysz tutaj przypomnianych, nad tematyką obozową czy wojenną dominuje w sensie ilościowym problematyka współczesna, ukazywana na ogół w formie swoście udramatyzowanych interwencyjnych reportaży radiowych – jako poręczny, by tak rzec, punkt wyjścia – w takich utworach jak: *Sekstet w Pałacu Ślubów*, *Pałę Martina Edena*, *Czy to temat?*, *Człowiek spod kaloryfera*. Ale jest tutaj i kilka utworów „dramaturgiczno-akustycznych” utrzymanych w formie wręcz fantastyczno-groteskowej czy także satyrycznej przypowieści, jak: *Zabieg*, *Ufo nad Parnasem*, *Miejsce na ścianie*.

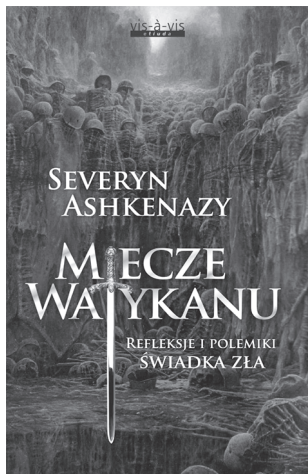
We wszystkich tych tekstach słuchowisk Zofii Posmysz, gdy się je teraz czyta po latach, widać coś jeszcze innego, co może do nich przyciągnąć współczesnego czytelnika. A także i nowego słuchacza radia, gdyby te słuchowiska zostały wznowione (co się chyba raczej dziś rzadko zdarza) lub też, gdyby zostały wyreżyserowane na nowo (bywa). Mianowicie poczucie humoru, ironia i dystans autorski, obecnie bardziej widoczne niż dawnej, co jeszcze ostrzej wydobywa ich wielorakie sensory i literackie smaki, powodując, iż nie są one przynależne tylko do szacownego skądinąd grona „słuchowiskowej klasyki radiowego słuchowiska”, a stanowią nadal żywą i aktualną w wielu wymiarach część całego powojennego dorobku pisarskiego autorki – wartą nadal nie tylko słuchania, ale czytania także...

Natomiast autorka omawianego tu opracowania wyboru słuchowisk Zofii Posmysz na koniec swojego erudycyjnego wstępu i analizy poszczególnych tekstów zbioru słusznie podkreśla, że radio dla niej „nie jest miejscem: wydzieloną enklawą wewnątrz rzeczywistości, pudełkiem, w którym spotykają się głosy i dźwięki, połączone ze sobą w sposób odległy od codziennej logiki, możliwy tylko tam... Radio jest wehikułem, umożliwia podróż w czasie i przestrzeni”. Nawet w swoich najbardziej groteskowych tekstach Posmysz pozostaje reporterką, która zabiera słuchaczy ze sobą w teren i uczy ich uważnego wsłuchiwania się w ciszę, by wyłowić z niej echa dawno ucichłych głosów. Toteż dodać jeszcze tylko trzeba, że to staranne, edytorsko krytyczne, należnymi przypisami, objaśnieniami tekstu i komentarzami dopełnione wydanie dramatów radiowych autorki *Pasażerki* nawiązuje, pod względem rodzaju wydawniczej roboty, do charakteru cennych opracowań znanych ze słynnej – stu-letniej już dziś tradycji – ossolińskiej serii *Biblioteki Narodowej*, przynoszącej w nowych naukowo-krytycznych opracowaniach literaturoznawczych teksty klasyków literatury polskiej. Nic przeto tylko przyklasnąć tej inicjatywie pomysłodawców i twórców nowej serii wydawniczej – zwanej *Dramat Polski. Reaktywacja*, przypominającej i przybliżającej utwory tak wydawałoby się ulotne, jak radiowe słuchowiska...

**Janusz TERMER**

## Severyn ASHKENAZY

*Miecze Watykanu. Refleksje i polemiki świadka zła*, przekład: A. Domińczak, Wydawnictwo Vis-à-Vis Etiuda, Kraków 2022, 322 strony.



## Dzieje Kościoła okiem świadka zła

Nazwisko Aszkenazy jest powszechnie znane i cenione w polskiej kulturze, nauce, historii. Szymon Askenazy (1865–193) to przedstawiciel

klasycznej polskiej historiografii, a także uznany szachista, i jednocześnie wybitny naukowiec, pochodzący ze zasymilowanej rodziny żydowskiej. Severyn Ashkenazy to dziś obywatel USA, wywodzący się z terenów tzw. kresów przedwojennej Polski (Tarnopol) i jednocześnie autor recenzowanej książki pt. *Miecze Watykanu* (podtytuł – Refleksje i polemiki świadka zła).

Książka jest wybitnie subiektywnym punktem widzenia przedstawiającym rolę Watykanu i instytucji Kościoła, zresztą często wybitnie negatywną i toksyczną, jaką spełniało państwo kościelne i stojący na jej czele papieże w dziejach Europy i świata – w historii ponad 1500-letnich prześladowań Żydów. Kreśli ją przedstawiciel kultury judaistycznej i jednocześnie zlaicyzowany Żyd, który przeżył lata II wojny światowej w ukryciu, pod podłogą mieszkania polskiej rodziny w Tarnopolu. Ten przedstawiciel prześladowanej systemowo przez wieki wspólnoty religijnej (a często i kultury) postawił sobie za zadanie

zgłębić, zrozumieć, opisać istotę tych procesów społecznych, zwieńczeniem których okazał się Holocaust. To równocześnie opowieść o narodzie i kulturze żydowskiej, widzianej i ocenianej przez progresywnego Żyda-patriotę, choć nie bezrefleksyjnego apologety. Z kart tej książki Ashkenazy jawi się nam, jako człowiek martwiący się o losy swego narodu, nieszczędzący krytycznych uwag wobec tendencji, cech, obyczajowości i politycznych azymutów królujących w establishmentie Izraela. Te niebezpieczne trendy, jego zdaniem, pogłębiają jedynie społeczne podziały. Ta polityczno-kulturowa i socjalna fragmentaryzacja izraelskiej zbiorowości jest według niego na tyle groźna, że byt państwa otoczonego przez wrogów (lub w najlepszym wypadku przez kraje i społeczności mu nieprzyjazne) jest niepewny, by nie rzec – permanentnie zagrożony.

Książka w założeniach miała być refleksją nad kondycją człowieczeństwa w jego najgłębszej istocie. Nie jest to więc rzecz o potrzebie wiary w Boga, bogów czy jakąś bliżej nieokreśloną siłę sprawczą tkwiącą w świadomości większości ludzi. Efekt emanujący z kart książki jest inny, choć kwestia Absolutu przewija się ciągle w tle snutych przez Ashkenazego rozważań. Nie da się przy problematyce związanej z Holocaustem, widzianym przez społeczności Żydów europejskich dotkniętych bezpośrednio tą tragedią (a dziś rzucającą toksyczny cień na świadomość światowej diaspory żydowskiej i społeczeństwa izraelskiego), pominąć takiego oto zagadnienia: jak w takim razie pojmować Boga, który w religiach tzw. abrahamowych (judaizm, chrześcijaństwo i islam wywodzą się z tego samego pnia kulturowego, z podobnych doświadczeń ich założycieli, z tego samego regionu, który doświadczał przez wieki podobnych klęsk, wojen i tragedii), miał być synonimem dobroci, solidarności, miłosierdzia i zrozumienia, a który patrzył milcząco na śmierć części swoich, często gorliwych, wyznawców? Śmierci idącej w miliony istnień i realizowanej w racjonalnie zorganizowany system, niczym w ramach wielkoprzemysłowej produkcji dóbr. Autor celnie konkluduje, iż zagrożeniem dla ludzkości, istniejącym od dawna, jest brak



jedności i poczucia wspólnoty ponad-plemiennej, ponad-rasowej, ponad-religijnej. Zagroził on i ciągle zagraża, mimo postępu i rozwoju cywilizacyjnego, światu i gatunkowi ludzkiemu. Niewątpliwą luką w tej refleksji jest nieuwzględnienie przez autora roli rynku i zysku w owych zagrożeniach oraz procesach, a one stanowią przecież o istocie gospodarki towarowo-pieniężnej. A wszelkie i zorganizowane w rozległą strukturę prześladowania zawsze w podtekście niosły (później potwierdzała wielokrotnie praktyka) element merkantylny, utylitarny, zyskowy. Ashkenazy natomiast skupia się wyłącznie na zagadnieniach wynikających bezpośrednio z podstawowych kanonów religii monoteistycznych; czyli uzurpacji przez nie prawa do jedynej prawdy i absolutyzacji spojrzenia na kulturę. Nie są to na pewno błahe kwestie, w tym akurat przypadku może i wiodące (chodzi o rolę instytucji Kościoła katolickiego w kształtowaniu europejskiego myślenia i najszerzej pojmowanej kultury), lecz polityka to przede wszystkim interesy i władza oraz nieusuwalne, związane z nią zyski i profity.

Ashkenazy pokazuje na przestrzeni historii, jak od uznania religii chrześcijańskiej za wyznacznik państwowy (czyli od ok. 1700 lat temu przez Konstantyna Wielkiego, a zwłaszcza od jednego z jego następców - Teodozjusza Wielkiego) zmienia się byt Żydów na terytorium Imperium Romanum. I dotyczy to nie tylko chrześcijaństwa, religii już panującej wówczas niepodzielnie formalno-politycznie, ale przede wszystkim w najszerzej rozumianej kulturze. Piętno, jakie przez wieki owej hegemonii wywarło zostało na umysłowości mieszkańców Starego Kontynentu, jest dla takich rozważań znakomitym wektorem dla zrozumienia istoty Shoah. I dlaczego do niego doszło. To było po prostu zwińczenie określonej, wielowiekowej, szerzonej różnymi metodami i w różny sposób nienawiści rasowej, kulturowej i religijnej. Dziś widać, iż ludzkość o tym wszystkim zapomniała i powtarza ponownie drogę ku katastrofie.

Autor podzielił swoją książkę na trzy części (choć mówi tylko o dwóch). Pierwsza, wprowadzająca, to opowieść o życiu w Tarnopolu młodego Severyna, kończąca się opisem przeżyć wojennych, początków emigracji i rozpoczęcia życia w USA. Zasadnicza część, druga, to refleksja Aszkenazego odnośnie ponad 1500-letniej roli Watykanu i religii chrześcijańskiej w prześladowaniu Żydów. Jest to bardzo dobrze udokumentowany fragment książki. Trzecia część zawiera refleksje autora odnoszone do współczesnej sytuacji, w jakiej znajduje się niezwykle podzielona i rozproszona, światowa (w tym i w państwie Izrael) wspólnota żydowska.

Wprowadzając czytelnika w tematykę swojej książki autor podkreśla, iż temu zagadnieniu, z racji traumatycznych doświadczeń wojennych, poświęcił całe życie. Zgłębiał literaturę, prowadził kwerendę dokumentów i archiwaliów, przeprowadzał rozmowy ze świadkami ocalałymi z Zagłady. Zachęca też do potraktowania recenzowanego materiału, jako punktu wyjścia do dalszych, subiektywnych poszukiwań i przemyśleń. Ale najważniejsze są jego zdaniem refleksje nad istotą masowego, zorganizowanego na skalę niemalże przemysłową zła, prześladowań, szykan i dyskryminacji. Wszelkie dyskryminacje, z początku zdaje się niewinne i polegające jedynie na subtelnej stygmatyzacji, przeradzają się zazwyczaj w masowe i tragicznie kończące się, prześladowania. Dzieje Żydów w Europie są tego najlepszym i klarownym potwierdzeniem.

Ashkenazy poświęca dużą część materiału kształtowanej przez wieki życia w diasporze, właśnie z racji charakteru judaizmu oraz form uprawianego kultu, tożsamości Żydów. Pokazuje, jak z powodu owej kulturowej odrębności, oprócz przyczyn religijnych i kulturowych, oraz rozproszenia narodu żydowskiego, kształtował się stosunek do nich chrześcijan pozostających pod przemożnym wpływem

Kościół katolickiego i centrali watykańskiej nadającej ton określonej narracji w tej mierze. Ta część książki jest doskonale udokumentowana, a fakty chronologicznie i kolejno przedstawiane tak, jak miały wieki owych prześladowań.

Sentencją podsumowującą niejako całość rozważań Ashekazego, a znajdującą się na ostatniej stronie tej polecanej przeze mnie gorąco książki, niech będzie myśl autora, iż „jeśli coś potrafimy sobie wyobrazić to oznacza, że możemy to osiągnąć”. Piękna, humanistyczna, klasycznie oświeceniowa i niezwykle pro-osobowa to myśl. Zawierająca optymizm oraz ufność w człowieka, jako miarę wszechrzeczy (jak wyznał to Protagoras z Abdery, V w. p.n.e.).

**Radek CZARNECKI**

## Grzegorz PIĄTEK

*Gdynia obiecana. Miasto, modernizm, modernizacja 1920–1939*, Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2022, 480 stron.



## Gdynia obiecana

Budowa Gdyni miała ogromne znaczenie dla Polski odrodzonej w roku 1918. Miała potwierdzić, że jesteśmy – jako Polacy – zdolni do podjęcia wyzwania, które na nowo ukształtuje naszą przyszłość jako nowoczesny, dobrze zorganizowany kraj. Gdynię zbudowano. To wybicie się na niezależność zostało zrealizowane ciężką pracą całego narodu. Oczywiście oczekiwania były różne – dla elity walczącej w Legionach, dla tych, którzy byli także zaangażowani w ruch niepodległościowy wyznając różne opcje polityczne i ideowe, oznaczało, że z Polską należy się liczyć na arenie gospodarczej, a nie tylko na polach bitew. Dla milionów bezrobotnych zamieszkujących przeludnione wsie była ogromną nadzieją, że staną się robotnikami, obywatelami nowoczesnego kraju, że znacząco poprawią swój byt.

Oczekiwania były olbrzymie – ich realizacja często zdezała się z brutalną rzeczywistością: bezrobociem, podłymi warunkami mieszkaniowymi, powszechnym bandytyzmem, brakiem bezpieczeństwa socjalnego, brakiem możliwości wykształcenia dzieci. Grzegorz Piątek, architekt z zawodu, napisał książkę opisującą dzieje budowy Gdyni w okresie międzywojennym, czyli okresu lat 1920–1939, od momentu podjęcia decyzji przez ówczesne władze państwa. Na miejsce budowy nowego miasta i portu wybrano niewielką kaszubską wieś.

Polska odrodziła się w Europie jako niepodległy kraj w roku 1918, jako największe nowo powstałe państwo po klęsce państw koalicji Niemiec i Austro-Węgier w I wojnie światowej. Nowo powstałemu państwu przyznano jednakże tylko symboliczny dostęp do otwartego morza, ledwie 150 km wybrzeża, bez pełnomorskiego portu. Gdańsk, który był naturalnym portem Rzeczypospolitej, przekształcono w Wolne Miasto, z ograniczonym dostępem do nabrzeży portowych dla polskich przedsiębiorstw. Decyzja o budowie w pełni polskiego portu była więc koniecznością ekonomiczną i polityczną. Budowę rozpoczęto w 1921 roku, gdy Gdynia liczyła 1200 mieszkańców, aby pod koniec dwudziestolecia międzywojennego przekroczyć liczbę 100 000 mieszkańców. Port w 1938 roku obsługiwał 46% polskiego handlu zagranicznego – głównie węgla kamiennego i drewna, podstawowych wówczas towarów polskiego eksportu.

Autor koncentruje się na przemianach architektonicznych i urbanistycznych nowo powstającego miasta. Z tego względu niewątpliwie dla mieszkań-

ców Gdyni jest to książka pasjonująca. Dla nas, współczesnych Polaków jest przede wszystkim przyczynkiem do historii Polski XX wieku. Trudno dziś wyobrazić sobie, jak ważną rolę odgrywała Gdynia w międzywojniu. Rola gospodarcza była istotna, ale znacznie ważniejsza była jej pozycja jako obiektu państwowotwórczej propagandy kolejnych rządów oraz dla milionów Polaków jako potwierdzenie odrodzenia się narodowego państwa, które zbudowało duży (największy na Bałtyku w latach trzydziestych XX wieku) port oraz nowoczesne miasto.

Znikały z pola widzenia ułomności miasta – brak planowania urbanistycznego, brak szkół, szpitali i usług komunalnych, bieda ludzi, którzy przybyli z całej Polski z nadzieją na dobrą pracę, zmuszonych do zamieszkania w nędznych dzielnicach zbudowanych z odpadków blach, opakowań lub wykopanych ziemiankach. Nieskanalizowane budy, w których na kilku metrach kwadratowych powierzchni mieszkało często kilka osób; śpiących na zmianę na ubitej ziemi. Domy przeznaczone dla zarówno zamożnych, jak i średniozamożnych budowane były chaotycznie, bez jakiegokolwiek koncepcji przestrzennej. Nawet nowoczesne wysokościowce budowano z cegły, bez bieżącej wody i często bez kanalizacji. Płace były najniższe w Polsce, a ceny – najwyższe, szczególnie produktów rolnych. Wynikało to z braku silnego rolniczego zaplecza dla nowo powstającego miasta i trudności komunikacyjnych z resztą kraju – Gdynię od kraju oddzielało Wolne Miasto, z ludźmi wrogo nastawionymi do rosnącej w siłę konkurencji.

Wysokie bezrobocie i niskie płace były przyczyną szeregu robotniczych protestów i demonstracji – niektórych zakończonych ofiarami w ludziach. O tym stanie rzeczy nie pisało się i dalej nie pisze – bardziej pamiętany jest bunt 1970 roku na Wybrzeżu, który objął również Gdynię, niż te sprowokowane przez (prawicowo-faszystujący) rząd w Warszawie i komisaryczny zarząd miasta. Największy miał miejsce w 1936 roku, kilka mniejszych – praktycznie corocznie w latach trzydziestych. Społecznicy, głównie wywodzący się z PPS, wzorem Warszawy powołali towarzystwo budowy tanich domów dla robotników na obrzeżach Gdyni – potrzeby były jednak wielokrotnie większe niż możliwości finansowe społecznych inicjatorów.

Autor czyni bezpośrednie porównania sytuacji robotników z lat 1920–1939 z okresem PRL-u. Wystąpienia robotnicze miały podobne podłoże ekonomiczne, ale wówczas oczekiwania Polaków były już znacznie bardziej ambitne. Władze nie były w stanie im sprostać. Świat, szczególnie w latach 70. wszedł na ścieżkę szybkiego wzrostu ekonomicznego, rozszerzenia zakresu usług społecznych, ogromnych szans awansu dla młodzieży. System tzw. realnego socjalizmu nie stwarzał takich możliwości. Polska Sanacji i Polska PRL miały systemy gospodarcze, które nie spełniały oczekiwań Polaków. Decydenci polityczni zdecydowali się przelać krew niewinnych ludzi tylko dla jednego celu: utrzymania się u władzy.

Byłem świadkiem robotniczego buntu w grudniu 1970 roku – zarówno w Gdańsku, jak i w Gdyni, gdy wysiadając z kolejki na stacji Gdynia Stocznia i w drodze do Stoczni im. Komuny Paryskiej widziałem zakrwawionych ludzi i słyszałem odgłos strzałów, odczułem strach ludzi stłoczonych na peronie, nierozumiejących sensu mordowania ich w drodze do pracy. Strach minął, pozostała nienawiść i pogarda dla „robotniczo-chłopskiego rządu”.

Autorytaryzm Sanacji i totalitaryzm jedynej partii PRL okazał się tragiczny. Gdynia pozostała i jest wspaniałym dokumentem wysiłku całego narodu.

**Daniel SAMOTUS ZBYTEK**



# Wybory 2023 – czy zaprzepaszczona szansa?

Tegoroczne wybory do Sejmu i Senatu mają dla losów demokracji w Polsce fundamentalne znaczenie. Po ponad siedmiu latach rządów sprawowanych przez autorytarną prawicę pojawiła się realna szansa zawrócenia z drogi, na którą Polska weszła w dużej mierze wskutek rażących błędów popełnionych tak przez Platformę Obywatelską, jak i przez lewicę; dało to Prawu i Sprawiedliwości nieoczekiwany sukces w wyborach prezydenckich, a wkrótce potem także parlamentarnych. Przez kolejne lata nowy obóz rządzący korzystał z dobrej koniunktury gospodarczej i dzięki zręcznie prowadzonej polityce socjalnej umacniał swoją dominującą pozycję. W 2020 roku pojawiła się szansa odebrania temu obozowi prezydentury, ale została zmarnowana, gdyż przegrani w pierwszej turze kandydaci opozycyjni nie udzielili Rafałowi Trzaskowskiemu jednoznacznego poparcia.

W tym roku sytuacja jest szczególna. Inflacja (jedna z najwyższych w Unii Europejskiej) jest tylko częściowo konsekwencją czynników niezależnych od prowadzonej przez PiS polityki (pandemia, potem wojna w Ukrainie). W dużej mierze wynika z nieudolnego kierowania polską gospodarką, czego symbolem są notorycznie nietrafione prognozy prezesa NBP – mianowanego na to stanowisko z racji partyjnych zasług, a nie profesjonalnych kompetencji. Wyborców, zwłaszcza młodych, do partii władzy zraża coraz bardziej ostentacyjne wspieranie przez nią katolickiego fundamentalizmu, co między innymi znalazło wyraz w zaostreniu ustawy antyaborcyjnej. Pośpieszne bogacenie się ludzi władzy budzi coraz silniejszy sprzeciw. Konflikt z Komisją Europejską i skierowana przeciw Unii Europejskiej kampania propagandowa osłabiły poważnie poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości.

Jest więc szansa na odwrócenie złego dla Polski trendu politycznego. Ta szansa jest w ręku przywódców opozycji demokratycznej. Dlaczego nie potrafią dojść do porozumienia w sprawie wspólnej listy? Dlaczego nie przedstawili nawet zarysu polityki przyszłego rządu, który powstanie, jeśli opozycja wygra wybory?

Odpowiedź jest niestety prosta. W łonie opozycji demokratycznej istnieje lęk przed jej zdominowaniem przez najsilniejszą partię opozycyjną – Platformę Obywatelską. Ten lęk dyktuje Szymonowi Hołowni taktykę, której konsekwencją może być stracenie przez Polskę szansy na wielką, demokratyczną zmianę. Z drugiej zaś strony Platforma Obywatelska, zapewne w wyniku wciąż żywych kompleksów ideologicznych, wzdyga się przed zawarciem wielkiego porozumienia wyborczego z lewicą, której przywódcy jednoznacznie deklarują wolę takiego porozumienia.

Jeśli przywódcy opozycji nie opamiętają się, mogą przejść do historii jako ci, przez których Polska straciła realną szansę na powrót do demokracji. Tego ani wyborcy, ani historia im nie wybaczą.

